☛ Numer wyborczy ☚

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 25 maja 1907. Nr. 21.

Wybory na sposób amerykański.

(Treść na stronie 2.)



Treść numeru: Wybory w Krakowie. — Wolnomurarze francuscy. — Śmierć zasłużonego filantropa. — Znowu zamach w Warszawie. — Hiszpański następca tronu. — Kronika tygodniowa. — Z bruku lwowskiego. — Na wulkanie. — Niezwykła zbrodnia itd. itd

Wybory na sposób amerykański.

(Do illustracyi tytułowej.)

Znane są powszechnie rozmaite epizody komiczne z czasu wyborów, uwiecznione w sposób genialny przez Marka Twaina w jego humoreskach. Rozgrywają się tam za Oceanem tak oryginalne historye w czasie, gdy lud Stanów Zjednoczonych wybiera nowych przedstawicieli do swych licznych ciał reprezentacyjnych, że muszą budzić u mieszkańców „starego“ świata uśmiech homeryczny, gdy czytają ich opisy.

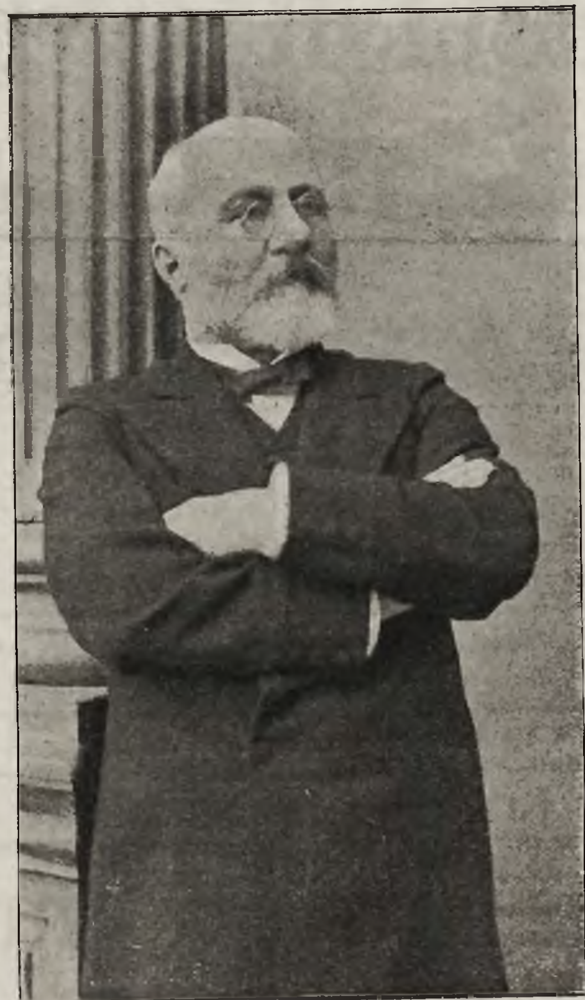
Ale i my nie zostajemy w tyle za Ameryką. Sposób reklamowania kandydatów przy wyborach nabiera u nas w Galicyi cech iście wielkoświatowych. Mieliśmy n. p. sposobność przekonać się o tem przy ostatnich wyborach we Lwowie, gdzie, jak świadczy o tem tytułowa rycina w dzisiejszym numerze naszego pisma, wybierano oczywiście na podstawie istniejącej ordynacyi wyborczej — ale w jednym z okręgów wyborczych na sposób mało dotąd praktykowany pod względem technicznym.

I tak: w lokalu wyborczym, który mieścił się w szkole ludowej im. Sobieskiego przy ul. Zamarstynowskiej, nacisk wyborców był stosunkowo olbrzymi.

Ubiegali się tam o mandat trzej kandydaci: Braude, Diamant i Horowitz. Agitacya była szalona. Wschodni temperament wyborców-żydów unosił ich tak daleko, że przyszło do bójek między przeciwnikami politycznymi. Wreszcie przywołano dwie kompanie wojska, które założywszy bagnety na karabiny, zdołały po pewnym czasie zapewnić „swobodę wyborów“.

W ten sposób jednak dopiero połowa sprawy została załatwioną. Trudno było wprawdzie dostać się do lokalu wyborczego, ale wyjść stamtąd z powodu ścisku było niemożebnem... Ale od czegóż potrzeba, która — jak słusznie twierdzą — jest matką wynalazków. Przystawiono do okien lokalu wyborczego, położonego na wysokim parterze, drabiny i po nich złazili, jak który umiał wyborcy, spełniwszy swój obowiązek obywatelski niejako z narażeniem życia.

Pomimo takiego zapału, a może nawet skutkiem niego, wybory w III-cim okręgu lwowskim nie dały pozytywnego rezultatu, gdyż okazał się koniecznym wybór ściślejszy między kandydatem konserwatywnym, p. Samuelem Horowitzem, a kandydatem partyi socyalistycznej, drem Diamandem. Wyborcy tamtego okręgu mają nadzieję, że przy tych wyborach magistrat lwowski postara się o to, aby znów drabiny nie musiały być w użyciu.



Smierć zasłużonego filantropa: Profesor dr. Henryk Jordan.

Śmierć zasłużonego filantropa.

Wśród ciężkich kolei, jakie naród polski od tak dawna przechodzi, wśród ciągłych niepowodzeń, przykrości, zawodów i wstrząśnień, czyniących tak trudną jego egzystencyę, mało zdarza się jaśniejszych momentów, mało napotyka się świetlanych postaci, które rozświetlałyby swą działalnością szare mroki powszedniego życia. Im jednak mniej napotykamy takich postaci — tem więcej należy je cenić, tem więcej czcić ich pamięć, tem usilniej wstępować w ich ślady.

Jedną z takich właśnie postaci był przed kilku dniami zmarły w Krakowie dr. Henryk Jordan.

Urodził się on 1842 roku w Przemyślu. Studya medyczne odbywał w Wiedniu i Krakowie, gdzie też w r. 1869 otrzymał doktorat. W latach 1870-74 pełnił obowiązki asystenta prof. Madurowicza przy katedrze położnictwa. W roku 1887 habilitował się na docenta, a w czternaście lat później został mianowany profesorem zwyczajnym, oraz dyrektorem kliniki położniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Śp. dr. Jordan ogłosił cały szereg prac z zakresu ginekologii, był kilkakrotnie dziekanem wydziału lekarskiego i prezesem Towarzystwa lekarskiego w Krakowie. Długie lata był członkiem rady miejskiej, a przez jedną kadencyę — od r. 1895 do r. 1901— piastował mandat do Sejmu z Krakowa.

Niespożytą zasługę położył śp. Jordan, założywszy na placu po krakowskiej wystawie krajowej w 1887 roku, park dla młodzieży, noszący jego nazwisko. Park ten — to kwintesencya żywota tego zasłużonego męża, który za główny cel życia wytknął sobie czynienie dobrze wszystkim i wszędzie. Jako gorący patryota i rozumny człowiek wyszedł dr. Jordan z zasady, że przyszłość narodu spoczywa w odpowiednim wychowaniu młodzieży tak pod względem fizycznym.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

Smierć zasłużonego filantropa: Orszak pogrzebowy w Rynku w czasie przeniesienia zwłok śp. prof. dra Jordana.

jak i duchowym. Ów park, który budzi podziw nawet wśród zagranicznych pedagogów, nadaje się do tego celu znakomicie. Zabawy i gimnastyka racyonalna na świeżem powietrzu, przystępne nawet dla najuboższej dziatwy płci obojga, hartują jej ciało, podczas, gdy duży zastęp biustów najzasłużeńszych mężów w narodzie, ustawiony w parku, budzi w niej wzniosłe uczucia miłości i poszanowania dla przeszłości.

Niemałe koszta, związane z założeniem i utrzymaniem tego parku, ponosił przez długie lata dr. Jordan z własnej kieszeni, choć nie był wcale bogatym. Przed kilku zaś laty założył znów własnym kosztem warstaty rzemieślnicze dla młodzieży szkół średnich, gdzie w chwilach wolnych ćwiczy się ona w pracy fizycznej, tak potrzebnej przy przeciążaniu jej nauką książkową.

Śp. Jordan doczekał się przynajmniej za życia pięknych owoców swej pracy. Widział dodatni wpływ swych usiłowań już na kilku pokoleniach młodzieży, był świadkiem, jak po wielu miastach polskich pozakładano podobne parki, nazwane „parkami Jordana“ na wzór krakowskiego, zbierał na każdym kroku dowody wdzięczności i rodziców i młodzieży, która go ubóstwiała.

Pomimo swych licznych obowiązków zawodowych i społecznych, nie zapominał dr. Jordan nigdy o swym parku, gdzie codziennie było można go widzieć, i obserwować zajęcie, z jakiem interesował się tymi maluczkimi, którzy tam nabierają tężyzny fizycznej i duchowego zdrowia.

Niemałą też zasługę położył śp. dr. Jordan przez to, że dał inicyatywę do powstania towarzystwa „Samopomocy“, mającego na celu opiekę nad niezamożnemi wdowami i sierotami po lekarzach Galicyi, Bukowiny i Śląska.



Smierć zasłużonego filantropa: Karawan ze zwłokami śp. prof. dra Jordana. (Fot W. Lis).



Smierć zasłużonego filantropa: Wóz z wieńcami wiezionymi przed trumną. (Fot. W. Lis.)

Jako człowiek naprawdę dobroczynny i przystępny dla wszystkich, jako lekarz niepospolicie zdolny i znakomity profesor, jako gorący patryota i wielki przyjaciel młodzieży — jednem słowem jako zasłużony filantrop i działacz społeczny, nazawsze pozostanie dr. Henryk Jordan we wdzięcznej pamięci nietylko Krakowian, ale także całego polskiego ogółu.

* * *

Pogrzeb, jakim uczcił Kraków ś. p. prof. dra Henryka Jordana, był najwymowniejszym dowodem jego nigdy nie zapomnianych zasług, oraz czci, jaką otaczali Krakowianie zmarłego.

W dniu 20 b. m. po południu wyruszyło całe miasto, aby oddać ostatnią posługę temu zasłużonemu przyjacielowi ludzkości. Orszak pogrzebowy rozciągał się na olbrzymiej przestrzeni. W skład jego wchodził ogromny zastęp duchowieństwa świeckiego i zakonnego, z kardynałem ks. Puzyną i biskupem ks. Nowakiem na czele, nieskończone szeregi młodzieży szkół ludowych, średnich i rzemieślniczej, przedstawiciele Rady miasta, władz autonomicznych, uniwersytetu Jagiellońskiego i lwowskiego, ochotnicze straże ogniowe itd.

Wygłoszono jedenaście mów, a mianowicie: przed domem przy ul. Sławkowskiej, gdzie mieszkał zmarły, przed kliniką położniczą przy ul. Kopernika i na cmentarzu.

O wielkości orszaku pogrzebowego daje pojęcie fakt, że gdy czoło jego znajdowało się na ulicy Mikołajskiej, to koniec jeszcze nie ruszył z ulicy Sławkowskiej.

Za trumną postępowali tuż po rodzinie: marszałek krajowy, hr. Stanisław Badeni oraz prezydent miasta, dr. Leo. Niezliczoną moc wieńców niesiono i wieziono na osobnym wozie. Był nimi także obsypany karawan, który otaczały sztandary cechowe i bedele z godłami uniwersyteckiemi.

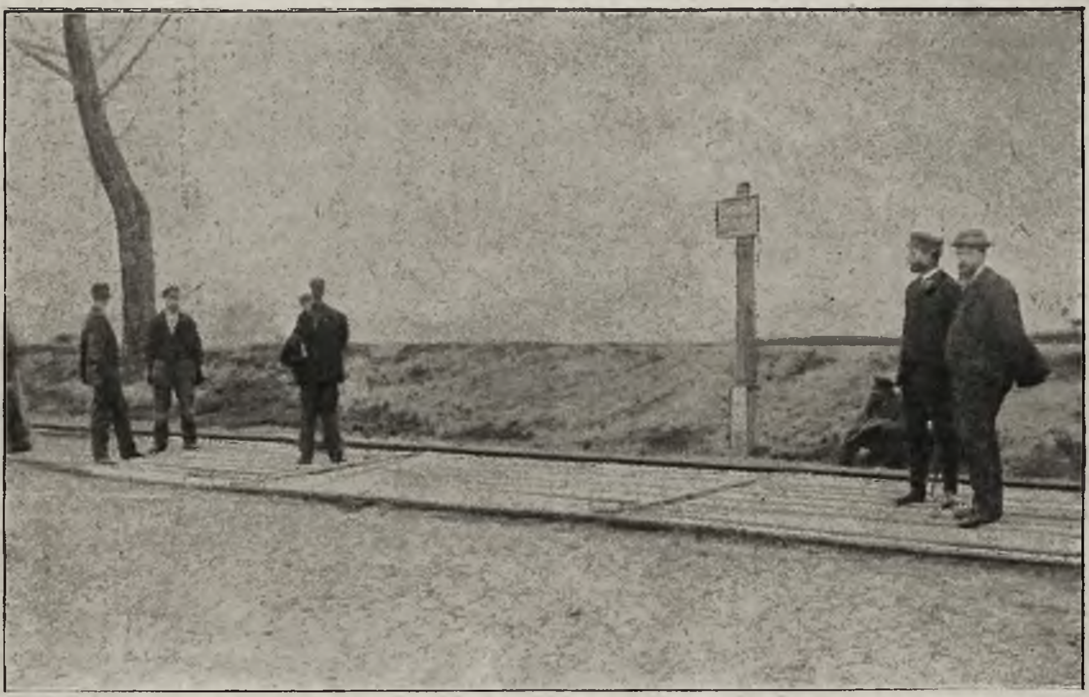
W pochodzie przygrywały trzy kapele studenckie, orkiestra Harmonii i orkiestra Sokoła, którego członkowie umundurowani stawili się w znacznej liczbie i ponieśli na swych barkach trumnę ze zwłokami zmarłego od wrót cmentarnych aż do grobu.

Latarnie wzdłuż drogi, jaką przebywał orszak pogrzebowy, były zapalone i okryte czarną krepą. Pomimo tak wielkiego udziału publiczności w tym pogrzebie, porządek wzorowy wszędzie panował, a on sam miał cechę nader uroczystej i poważnej manifestacyi. Nawet deszcz, co chwila padający i silny wicher, nie odstraszyły tłumów, które spieszyły aż na sam cmentarz.

Ceremonie pogrzebowe zakończyły się dopiero o godzinie w pół do ósmej wieczorem.



Znowu zamach w Warszawie: Dworzec na stacyi Kamionek z postrzelanemi ścianami i wybitemi oknami.



Znowu zamach w Warszawie: Stacya Kamionek, gdzie dokonano zamachu na studentów weterynaryi.

Znowu zamach w Warszawie.

Chroniczny stan wzburzenia, w jakim znajduje się Warszawa od lat kilku, chwilami tylko zdaje się mijać. Jeżeli parę dni przejdzie we względnym spokoju — to niezawodnie należy się spodziewać hiobowych wieści o nowych napadach bandyckich, o strzałach, których ofiarami padają ludzie niewinni, o doraźnych sądach itp.

Pewne zobojętnienie ogarnęło już mieszkańców stolicy, wobec krwawych faktów, które stały się tam chlebem powszednim. Brak bezpieczeństwa publicznego odbija się tam na każdym kroku. Handel i życie towarzyskie tracą na tem niezmiernie, przejezdni zaś, a szczególnie z granicy, starannie omijają Warszawę. Gdy dotego dodamy zastój w przemyśle, wywołany strejkami i ogólnem położeniem politycznem — to będziemy mieli bardzo niewesoły obraz i tem przykrzejszy, że niewidać dotąd chwili, kiedy stosunki zmienią się na lepsze.

I znów mamy do zanotowania z życia warszawskiego smutne wydarzenie, którego motywy dotąd nie zostały wyjaśnione.

W dniu 17 bm. grupa studentów opuściła o g. 2-iej popołudniu Instytut weterynaryi, znajdujący się przedmieściu Kamionek pod Warszawą, położonem na południowy wschód od przedmieścia Pragi.

W tej chwili kilkunastu młodych ludzi, przedtem ukrytych za wałem kolejowym, zaczęło ich ostrzeliwać z browningów. Odrazu padło na ziemię trzech ciężko rannych studentów — reszta szukała ocalenia, uciekając do gmachu Instytutu.

Napastnicy nie ustawali strzelać, a ponieważ równocześnie nadszedł pociąg kolejki dojazdowej od strony Grochowa, ruch zaś w tem miejscu z powodu odbywającego się właśnie targu na konie był znaczny, przeto padło ofiarą strzałów także kilka postronnych osób.

Ochłonąwszy z przestrachu, publiczność zajęła się rannymi. Trzech z nich złożono do nadeszłego pociągu kolejki, który był nadszedł, lecz który nie mógł zaraz ruszyć z miejsca ponieważ i maszynista i palacz zostali także ranni wówczas, gdy napastnicy razili strzałami uciekających studentów.

Oprócz tego odnieśli rany: pewien dorożkarz właśnie w chwili, gdy kupował konia, jeden z podróżnych w pociągu i kilku studentów, którzy uciekali do Instytutu.

Sprawców, jak zwykle nie ujęto. Stan pięciu rannych jest groźny. Zachodzi podejrzenie, że sprawcami tego zamachu byli młodzi ludzie, którym chodziło o powstrzymanie za każdą cenę od frekwencyi studentów pomienionego Instytutu, który jest jedynym wyższym rządowym zakładem naukowym w Warszawie i jaki dotąd funkcyonuje mniej więcej prawidłowo.



Wybory w Krakowie: Ścisk wyborców przed lokalem »Piasek — Kleparz« w szkole im św. Wojciecha, ul. Biskupia.



Wybory w Krakowie: Kordon wojskowy przed lokalem wyborczym na placu WW. Świętych.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

24 Ciąg dalszy.

Patrzył badawczo w ulicę, śledząc wysłanych przodem ajentów. Przechodnie szybko usuwali się przed idącym, kupcy chronili się do sklepów i przed nim na kilka kroków było pusto. Widok przestrachu, który budził swą osobą, głaskał mile jego ambicyę, myślał z przyjemnością, że nawet przed oberpolicmajstrem, przed samym gubernatorem nie usuwa się tak publiczność, jak przed nim i poczuł się wielkim, potężnym i sławnym.

Już wchodził na róg Świętokrzyskiej, gdy podbiegł ajent tajny i szepnął:

— Coś niewyraźnego na ulicy, za wiele ludzi i dorożek.

— Głupstwo!.... Zaraz ich wypłoszę — i zwracając się do dwóch umundurowanych policyantów rozkazał — zrewidujcie kilku na ulicy.

Poskoczyli policyanci, wołając do przechodzącego żyda:

— Ruki w wierch!

Ten okrzyk poskutkował, ulica prawie że się opróżniła, ludzie cisnęli się do sklepów, kobiety piszczały. Wśród chroniących się był i Metal, który jednak nie mógł się pomieścić w sklepie. Ta scena bardzo ubawiła Nikiforowa, zapalił papierosa, a widząc wychyloną z okna twarz kochanki, uśmiechnął się do niej. Przechodząc przez ulicę z jednego chodnika na drugi, przystanął na chwilę i krzyknął na policyantów rewidujących:

— Dawolno rebiata!

W tejże chwili podszedł do stojącego Metal, przystanął i pod same nogi komisarza rzucił bombę.

Rozległ się przerażający huk i z brzękiem, dzwonieniem posypały się wszystkie szyby z przyległych domów, a krzyk przerażonych ludzi zapełnił powietrze.

Metal widząc upadającego komisarza, przeszedł na chodnik, ale czuł się tak osłabionym, że, aby nie upaść musiał oprzeć się o mur.

Słyszał wewnętrzny rozkaz: „uciekaj!“, miał jasną świadomość, że powinien się spieszyć, wiedział, że tuż na skręcie czekają na niego towarzysze, a jednak posuwał się wolno, z trudem. Odwrócił się i widział trupa leżącego na środku ulicy, to go ocuciło z niemocy ciała, poszedł raźniej ku oczekującemu na niego Ogniowi.

Lecz na odgłos bomby przybiegła patrol konna z Marszałkowskiej i chcąc się zabezpieczyć przed zamachem drugą bombą, dziesięciu dragonów na chybił trafił dało salwę w ulicę. Zagwizdały kule, rozległy się jęki ranionych. Metal przeszyty kulą osunął się na chodnik.

Teraz zbiegli się policyanci, patrole i obstąpili w około zabitego Nikiforowa. Twarz miał niezmienioną, oczy otwarte, a w kurczowo zaciśniętych palcach dymiący papieros. Dolna część ciała była rozszarpana wybuchem; brakowało lewej nogi do uda i prawej do kolana; z pod długiego, odchylonego mundnru wypełzały skrwawione wnętrzności.

— Nu, tak i ubili go — mruknął jeden ze stojących żołnierzy.

— Nadbiegł zdyszany rewirowy, a widząc trupa, przeżegnał się trzy razy i rzekł do żołnierzy:

— Szukajcie zabójców — ręką wskazał na przyległe nlice.

Żołnierze rozbiegli się.

Gdy Bal wszedł do pokoju, Wanda pierwsza rzuciła pytanie:

— Czy on zginął?

— Zabity, ale i Metal również — odpowiedział chmurny.

— O niego tylko pytałam — odpowiedziała zasmucona — taki sympatyczny ten Metal.

— Co to za jeden? — spytał Kola.

— Nasz towarzysz — rzekła Wanda — i jeszcze przed chwilą rozmawiał z nami.

— Dotychczas nie wiem, kto został zabity prócz Metala — odezwała się Logika patrząc na Bala.

— Nikoforów. Nogi poszły w strzępy, została głowa i piersi.

— Słuchaj Kola — przemówił Bal, stojąc przed siedzącym — na moje pytanie wolno ci odpowiedzieć lub nie, zostawiam ci swobodę zupełną.... jednak chciałbym wiedzieć, czy te rozporządzenia, nietylko względem nas, ale dla całego miasta, czy one są pomysłem ojca, czy innych?

Na wrażliwych twarzach Wandy i Logiki widać było niepokój i zakłopotanie. Kola lekko się zaczerwienił i odpowiedział spokojnie:

— Rozporządzenia, o które pytasz, są zawsze roztrząsane na posiedzeniach, na których biorą udział zazwyczaj: naczelnik żandarmeryi lub jego zastępca, naczelnik ochrany, generał komenderujący wojskami, często oberpolicmajster, a zawsze sekretarz ojca. Kto podaje wnioski poszczególne, tego nie wiem, ale z przygodnych rozmów wiem, że generał Tiszew chciałby zbombardować Warszawę i urządzić pogrom przy pomocy wojska, no ale ten jest nieszkodliwy —uśmiechnął się. Żandarm von Plessen mądry i chytry; Krasotin pułkownik z ochrany zażarty na ruch i Polskę: oberpolicmajster sprytny, gładki, a sekretarz Gołubiew rusyfikator najgorszego gatunku, nienawidzi nas, Polaków, kraju i ma dar podniecania ojca, do najsroższych represalii.

— Więc to tak?.... Jeszcze jedno pytanie przykre, ale nie bądź synem, tylko człowiekiem. Jakim właściwie jest twój ojciec?

— Reakcyonista z przekonania, surowy dla siebie i wszystkich, rygorzysta, ale sprawiedliwy, bez cienia okrucieństwa.

— Dziękuję ci za szczerość.... zatem von Plessen, Krasotin i Gołubiew — spojrzał w przeciwległe okna jasno oświetlone.

— Teraz pozwól mi się zapytać nawzajem — rzekł Kola — jaki użytek myślisz zrobić z tych wiadomości?

— Partyjny, jak zwykle. Tym panom, prócz twego ojca i oberpolicmajstra, poszlę listy ostrzegające.

— Dlaczego stawiasz mego ojca na równi z oberpolicmajstrem? — zapytał z odcieniem żalu.

— Ojca twego uważam za uczciwego człowieka, a policmajster otrzymał od trzech partyj wyrok śmierci, do kompletu więc brakuje mu naszego — zaśmiał się — ale zaczekamy jeszcze, może nas kto wyręczy szczęśliwie.

Logika przysłuchiwała się uważnie rozmowie, a gdy Bal wspomniał o wyrokach, zmarszczyła brwi i rzekła z powagą:

— Wiecie towarzyszu, to wasze zajęcie partyjne będzie prędzej czy później przyczyną znieprawienia waszego.

— Jak to rozumiecie? — spojrzał na nią Bal badawczo.

— Nieustanne niemal rozmyślanie i śledzenie, wysyłanie ostrzeżeń, wyroków.... obliczanie powodzenia zamachów zabójczych, widok krwi... stopniowo stępi zdrowy wasz instynkt etyczny... rozmiłujecie się w tem i.....

— Zmarnieją — przerwał jej Bal ze śmiechem.

— Wierzę wam, ale czy pomyśleliście o naszych wykonawcach? Czy potraficie tak łatwo okiełznąć ich instynkta zabójcze, jak rozbudziliście?

— To inna sprawa — mówił z namysłem — przedewszystkiem są to ludzie poświęcenia się dla idei, ale z czasem.... hm.... zapewne, słabsi padną i zmarnieją.... trudno, gdzie drwa rąbią tam drzazgi lecą.

— Jeżeli wiesz, że znieprawiasz ludzi i niszczysz ich przyszłość — zawołał Kola — więc usuń się od bojówki, zajmij się inną pracą partyjną....

— Ja nie mam prawa nsuwać się, komitet centralny kazał, ja słucham.... Co do wykonawców i ich możliwego znieprawienia, nie będę ich miał na sumieniu. Taką taktykę uchwaliła partya, a że zginie przy tem mniej czy więcej ludzi, to rzecz podrzędna. Na wojnie, jak na wojnie.

IX.

O wycofaniu książeczki danej Wandzie, nie zawiadomił oberpolicmajster Gołubiewa. Rozumował bowiem, że skoro Kola dał słowo, iż o tej sprawie nie powie ojcu, tem samem Gołubiew nie straci względów generała, a jeśli Gołubiew dowie się od niego o wmieszaniu się Koli, będzie skrępowany w stosunku do Czerniejewa i jego rodziny, a również będzie miał żal do niego, iż wydał go i wymienił jego nazwisko, a w następstwie będzie mu szkodził.

Sprawa się utrze, a przy kieliszku powie mu kiedyś całą prawdę.

Gołubiew przez kilka dni szukał okazyi zblizenia się do Logiki, lecz pożądana sposobność nie nadarzała się, gdyż Logika zajęta pracą agitacyjną, wychodziła rano z domn. Aż w jakiś tydzień po manifestacyi, gdy Gołubiew rozparty w dorożce wracał z obiadu, spostrzegł na Nowym Świecie, idącą kobietę, która z ruchów przypomniała mu Logikę. Wyskoczył z dorożki, zbliżył się i istotnie była to ona. Podniecony alkoholem poczuł wielką pewność siebie i postanowił raz już skończyć z tą dziewczyną, która go drażniła, dla której poświęcił tyle czasu, zapłacił przegrany szampan i dla niej naraził swą opinię niezwyciężonego w ubieganiu się o względy kobiet.

Kilka kroków przeszedł tuż za nią, a gdy dochodziła do Wareckiej, przystąpił i zdjął lekko swój nowy kapelusz mówiąc:

— Korzystam ze sposobności, aby oddać pani przysługę.

Logika spojrzała bokiem na niego, a poznawszy mniemanego szpiega, zarumieniła się z oburzenia, Gołubiew zaś tłomaczył sobie ten rumieniec na korzyść swoją. Przysunąwszy się więc bliżej ciągnął dalej:

— Towarzyszka pani, jak dowiedziałem się otrzymała z policyi bardzo przykry pasport, dokument hańbiący, przypuszczam, że zaszła tu pomyłka godna pożałowania, bo przecież pani taka piękna, elegancka i tak skromna w zachowaniu nie może mieć za towarzyszkę kobiety, która tak nisko upadła. Czy nie tak?

Logika udawała, że nie słyszy, nie rozumie, raz tylko spojrzała z pogardą na niego, gdy wspomniał Wandę.

— Czyż nie usłyszę cudownego głosu pani, jednego słówka, błagam panią.

Dotknął się jej ręki. Logika odsunęła się szybko, zmierzyła go nienawistnem spojrzeniem i przez zaciśnięte zęby rzekła dobitnie:

— Precz!

— Nareszcie usłyszałem głos pani — zaśmiał się — jest przecudowny... otóż ja przerobię w policyi tę sprawę, tę książeczkę odbiorą a paszport wydadzą. Zrobię to tylko dla pani, bo ja panią kocham, szaleję za panią — i podniecony swoją wymową szeptał dalej — daj mi pani swą prześliczną rączkę. Ujął silnie jej rękę, mówiąc: bądźmy nadal przyjaciołmi!...

Logika wyrwała rękę, obejrzała się za pomocą, ale ujrzała same prawie kobiety i dwóch oficerów, przypatrujących się jej ciekawie. Odsunęła się o ile mogła od swego prześladowcy i powiedziała głośno:

— Podły!

Gołubiew znów przysunął się do niej i mówił:

— Niech się pani miarkuje, ludzie patrzą i ja mogę stracić cierpliwość, a wtedy gorzko pani pożałuje.

Logika przyspieszyła kroku i wyprzedziła go, on szybko się zbliżył, mówiąc głosem podrażnionym:

— Nie uciekaj pani, póki proszę... ja dam pani prezent, jaki zechcesz pani, nie pożałuję niczego, będę sługą pani, miejże litość pani — prosił i przysunął się do niej.

W tej chwili z ulicy Chmielnej wszedł na Nowy Świat Porwa. Uradowana Logika szybko podeszła, mówiąc:

— Podajcie mi rękę.

Porwa podsunął ramię a widząc ją tak wzburzoną, spytał:

— Co się stało?

Gołubiewa to nagłe pojawienie się mężczyzny cokolwiek wstrzymało, lecz zabłysło mu przypuszczenie, że to tylko manewr kobiety, która pierwszego lepszego chwyta mężczyznę, byle się uwolnić od natręta. A może ona chce się uczynić tem droższą i pożądańszą? Przyspieszył kroku i idąc ciągle obok Logiki, kontynuował dalej:

— Ten pan mnie nie odstraszy — zaśmiał się — mamy równe prawa do pani, jego pieniądze są takie same, jak moje.

Porwa zatrzymał się i rzekł głosem powstrzymywanego oburzenia:

— Odejdź pan, bo źle będzie.

— No o taką dziewczynę nie zrobi pan awantury — uśmiechnął się — i nie radzę ze mną zaczynać... może pan ją zna, teraz ja chcę ją poznać — śmiał się i próbował pochwycić rękę Logiki, która widząc gromadzących się ciekawych zajścia, szepnęła do Porwy:

— Tylko bez awantur.

Równocześnie z temi słowami rozległ się odgłos policzka i kapelusz Gołubiewa potoczył się na ulicę.

— Czto?!... wy mienia?!... Hej, wistawoj!... Wistowoj! — krzyknął na opodal stojącego policyanta, podnosząc z ziemi swój kapelusz — arestawat' — wskazał na Porwę z Logiką, oddalonych o kilka kroków.

Widząc, że policyant się waha, powiedział mu swe nazwisko i piastowany urząd. Policyant usłyszawszy, z okrzykiem: — Pastojte! — pobiegł za Porwą.

Wśród gromadzącej się publiczności rozległy się głosy protestujące, gdyż zajście o kobietę między mężczyznami, z powodu odezwania się po rosyjsku i zawezwania policyi, nabierało cechy politycznej.

— Policyi wzywa... Mało mu raz... Prześladował ją, widziałam sama... I ja... I ja...

Gołubiewowi coraz ciaśniej robiło się wśród napierającej publiczności, zdjął go strach, coraz szybciej szedł ku policyantowi, który zatrzymał Porwę i Logikę. Uspokoił się dopiero, gdy dojrzał nadchodzący patrol żołnierzy.

— Skarej! — krzyknął i sześciu żołnierzy z błyszczącymi bagnetami, osadzonemi na karabinach, otoczyło aresztowanych wraz z Gołubiewem i policyantem.

— Wasze wysokorodie i etu żeńszczynu arestawat'? spytał policyant.

— Da i siejczas w cząst' — zawołał już pewny siebie Gołubiew.

Policyant skoczył do publiczności, krzycząc:

— Razejtiś! Razejtiś!...

Porwa i Logika szli do cyrkułu w otoczeniu żołnierzy, a wśród publiczności rozległo się hasło, aby iść świadczyć o niewinności aresztowanych, gdy Gołubiew siadł do dorożki, uprzedzając przybycie Porwy i Logiki.

Na razie nie zastał komisarza, tylko podwładnego urzędnika, który wysłuchawszy skargi miał minę zakłopotaną, począł zasłaniać się przepisami prawnymi i żądał świadków zajścia, a przedewszystkiem stójkowego.

To oburzyło Gołubiewa; on, sekretarz, świadczy o przestępstwie, a jakiś pisarczyk śmie jemu mówić o przepisach, świadkach...

Sam posłał po komisarza do jego prywatnego mieszkania i wyczekując, przechadzał się po biurze.

Żołnierze wprowadzili Logikę i Porwę a urzędnik zaczął spisywać protokół. Pierwsza mówiła Logika.

— Ten pan — wskazała na Gołubiewa, stojącego w drzwiach do drugiego pokoju — zupełnie mi nieznany, zaczął na ulicy przemawiać do mnie w sposób ubliżający i bezwstydny...

— Hej... posłuchaj pan — drwił Gołubiew — czy taka dziewczyna ma prawo mówić o wstydzie, o honorze... zamknij ją pan na trzy dni, a potem daj pan jej książkę. Rozumie pan?

— Wpierw muszę protokół napisać — odparł urzędnik z uniżonym ukłonem.

— Żadnych protokołów... jeżeli ja mówię, że zawiniła, że mi ubliżyła, powinno to panu wystarczyć.

— Nie mogę... przepis — bąknął urzędnik.

— Więc zaczekaj pan na komisarza, posłałem po niego.

— To mogę — i aresztowanych kazał przeprowadzić do poczekalni.

Był to mały, ciemnawy pokoik, przypominający celę więzienną; wokoło biegła drewniana ława, na której oboje siedli.

Logika opowiedziała prawie dosłownie przemowę Gołubiewa, a Porwa nachmurzony, spytał:

— Czy istotnie ona dostała książeczkę?

— Rewirowy przyniósł, ale nadszedł Kola, pojechał gdzieś i po godzinie przywiózł dawny paszport.

— Czy Wanda zrozumiała znaczenie książeczki?

— Nie.

— To nie mówcie jej; a Bal wie?

— Zdaje mi się, że nie. My same nie wiedziałyśmy; jeden Kola mógłby był jemu powiedzieć.

— Nic zawiadamiajcie go; z Kolą pomówię, a ten pan proponował również zamianę tej książeczki na paszport?

— Tak jest.

— Dawno go znacie?

Logika opowiedziała, jak szedł za nią do Siennej, następnie wizytę jego w jej mieszkaniu i kończyła:

— Biorąc rzecz logicznie i zważywszy, iż on musi zajmować wyższe stanowisko, co widać ze stosunku do policyanta i cyrkułu, wnoszę, że nikt inny tylko on, mszcząc się na Wandzie, wymyślił tę hańbę... groził bowiem i mnie, że gorzko pożałuję... ale ja drwię z pogróżek.

— No, wiecie, taka książeczka ma bardzo przykre następstwa, ale poradzimy na to.

I znów szczegółowo rozmawiali o dzisiejszem zajściu.

Tymczasem Gołubiew ochłonął z pierwszej pasyi i rozmyślił się, iż to jemu ostatecznie honoru nie przysporzy, że awanturował się o dziewczynę, no i dopuścił do tego, że jakiś Polak śmiał podnieść rękę na niego.

Z kieszeni wyjął lusterko, zbadał twarz i zaklął, gdyż lewy policzek był zaczerwieniony.

— A praklataja sobaka! — mruknął.

Istotnie nie wypada, aby jakiś tam komisarz cyrkułowy dowiedział się, iż sekretarz wojennego generał-gubernatora, rzeczywisty radca stanu, otrzymał policzek w miejscu publicznem.

Będzie najstosowniej, aby nie ściągnięto żadnego protokółu z oskarżonych, tylko po prostu na mocy jego rozporządzenia, bez żadnego wyjaśnienia przetrzymano oboje w areszcie.



Da i siejczas w czast — zawołał już pewny siebie Gołubiew.

Nadszedł komisarz i uniżenie powitał Gołubiewa, który podając mu rękę, niedbale rzekł:

— Kazałem uwięzić mężczyznę i kobietę, ubliżyli mi jako urzędnikowi.

— Czy wasza miłość był na służbie, w mundurze?

— To nie należy do rzeczy... mówię, że mi ubliżyli, to powinno panu wystarczyć.

Te słowa, a zwłaszcza ton lekceważący podrażniły komisarza:

— Według przepisu muszę wiedzieć, jaki gatunek przestępstwa popełnili oskarżeni... stosowny raport jestem zobowiązany przesłać władzy wyższej.

— Głupstwo! Przepisy dobre dla innych, ale nie dla mnie.

— Istotnie... radbym bardzo usłużyć, ale nie jestem w możności, zwłaszcza, że publiczność czeka w podwórzu i chce świadczyć za tymi oskarżonymi.

— Publiczność rozpędzić, pan wie, że zgromadzać się nie wolno.

— To są świadkowie... i na razie nie mogę słuchać...

— Nie? — zaśmiał się drwiąco i przystąpiwszy do telefonu zażądał połączenia z biurem oberpolicmajstra, a po chwili telefonował:

— Jakaś kobieta i mężczyzna, Polacy, ubliżyli mi jako Rosyaninowi, spowodowali zbiegowisko; byłem w niebezpieczeństwie, uratował mnie patrol. Tych dwoje aresztowałem, są w cyrkule, proszę o ich przyaresztowanie bez protokołu, sprawę wyjaśnię osobiście.

Oberpolicmajster, pragnąc przysłużyć się Gołubiewowi, zwłaszcza z powodu odebrania książeczki, wydał komisarzowi rozkaz zastosowania się do woli Gołubiewa, którego poprosił do siebie celem zbadania sprawy.

Gołubiew spojrzał tryumfująco na komisarza i rzekł tonem urzędowym:

— Dowiedz się pan nazwisk oskarżonych ludzi...

Po chwili wrócił komisarz i meldował a Gołubiew zapisał w notesie.

— Rysiński Wincenty... Ewa Ogniewska. On jest inżynierem, ona panną.

— Dobrze... każ ich pan zaprowadzić do więzienia, aż do nowego rozporządzenia — skinął głową, wyszedł i kazał się zawieźć do oberpolicmajstra.

Ten przyjął go bardzo serdecznie, a po przywitaniu, gdy usiedli i zapalili papierosy, spytał:

— Cóż to się stało Pawle Pawłowiczu? Przez telefon poznałem wasze wzburzenie... dobrze zrobiliście, aresztując winnych... trzeba ich przykładnie ukarać, muszą mieć dla nas szacunek.

— Powiem wam szczerą prawdę, Mikołaju Piotrowiczu... Otóż idąc Nowym Światem spotykam ładną dziewczynę...

— Ach, wy Pawle Pawłowiczu zawsze niepoprawny kobieciarz — zaśmiał się.

— Taką mam naturę, cóż robić?... Znam ją z widzenia, bo mieszka naprzeciw mnie z tą Balkowską, wiecie?

Oberpolicmajster spoważniał, przypomniał sobie Kolę i patrząc badawczo w oczy Gołubiewa powiedział:

— Opowiadajcie dalej, Pawle Pawłowiczu.

— Zbliżyłem się do niej i przemówiłem kilka słów bardzo grzecznych... ta odpowiada mi nietylko szorstko, ale grubijańsko... Ja nic, zawsze jestem grzeczny, wtem ni stąd, ni zowąd zjawia się mężczyzna i uprowadza ją. Naturalnie ja chcę się z nią pożegnać, a ten do mnie... podniósł rękę ale odbiłem. Czyż miałem puścić to płazem? Pozwolić, aby taki Polak przechwalał się, że on mi ubliżył?!

— Hm... wy Pawle Pawłowiczu byliście w prawie aresztować go, podobne ubliżenia muszą być karane... ale po cóż kazaliście i ją zabrać?

— Bo i ona krzyczała na mnie... głośno powiedziała: podły!... Ot co!

— No, zlitujcie się, toż ona kobieta... i nie miałbym nic przeciw jej zaaresztowaniu, gdyby to nie była towarzyszka Balkowskiej.

— Cóż to znów za skrupuły, Mikołaju Piotrowiczu — śmiał się ironicznie — toż Balkowska teraz z książeczką.

— Otóż nie ma książeczki... nie chciałem wam psuć humoru, ale byłem w prawdziwym kłopocie z powodu tej książeczki... no i musiałem odebrać, przeprosić... ot źle było.

— Żarty chyba! — zawołał Gołubiew — przecież ona mieszka z Ogniewską naprzeciw mojego mieszkania... sam widziałem, przyjmowała mężczyzn, no i zlitujcie się, dwie same niby to panny, mężczyźni wieczorami do późna... wabi na ulicy...

— Pomyliliście się Pawle Pawłowiczu, to porządna panna, szlachcianka... siostrzenica starej Kulińskiej, wiecie?... no i bywa w domu Czerniejewów.

— Co? — podskoczył — ona bywa u generał gubernatora? Ależ to kłamstwo!... No, no, dosyć tych żartów, Mikołaju Piotrowiczu — śmiał się z przymusem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wolnomurarze francuscy.

Polityczno-religijna sekta wolnomurarzy, zwana u nas krótko „masonami“, doszła na świecie do wielkiego znaczenia i wpływów, szczególniej we Francyi. Początki jej giną w pomroce wieków średnich; tyle tylko z jej dziejów jest pewnem, że na początkach XVIII. wieku przybrała w Anglii te konkretne formy, w jakich istnieje aż dotąd. Stamtąd rozszerzyło się wolnomurarstwo na cały kontynent europejski. Nawet w Królestwie Polskiem istniały loże wolnomurarskie aż do 1825 roku, w Rosyi zaś za czasów Katarzyny II-iej.

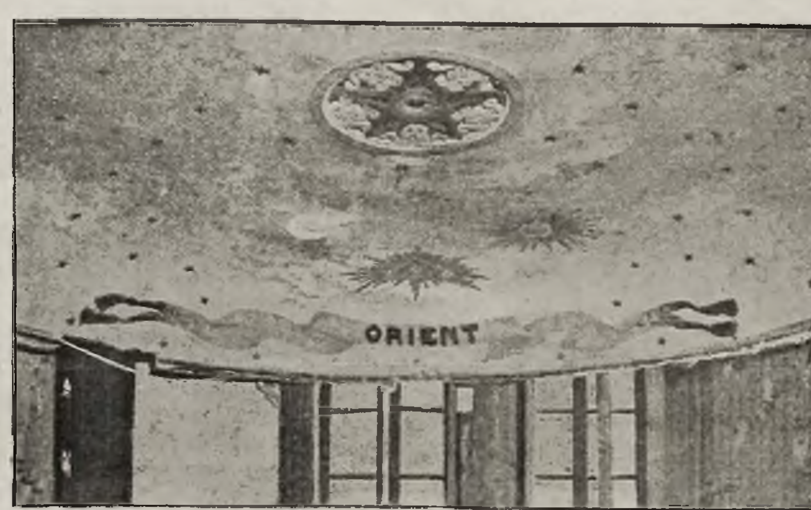
Obecnie, z wyjątkiem Austryi i Rosyi, masonerya jest nietylko tolerowanem, ale nawet prawnie uznanem stowarzyszeniem. Król Edward angielski jest np. wielkim mistrzem wszystkich lóż masońskich w swem państwie, podobnie jak Wilhelm, cesarz niemiecki. Oprócz tego należy do jej związku mnóstwo najwybitniejszych osobistości, ze sfer politycznych, naukowych i literackich Europy, Ameryki i Australii. — Liczbę czynnych członków lóż masońskich całego świata obliczają na przeszło $1\frac{1}{2}$ miliona, a tajemniczość, jaką otaczają one przyjęcie nowych członków i obrzędy, spełniane na swych posiedzeniach, zarówno jak ukrywanie właściwych celów, jednają im licznych zwolenników, bo leży to już w usposobieniu człowieka, że czuje się pociągniętym do każdej sprawy, okrytej urokiem czegoś niepowszedniego i tajemniczego.

Właściwe cele i zadania wolnomurarstwa znane są tylko tym jego członkom, którzy otrzymali wyższe stopnie w jego hierarchii. Dla mniej wtajemniczonych i dla ogółu pozostającego poza jego obrębem wystarczać muszą frazesy o miłości wzajemnej wszystkich ludzi, o powszechnem braterstwie wszystkich ludów, o zwalczaniu istniejących religij itp.

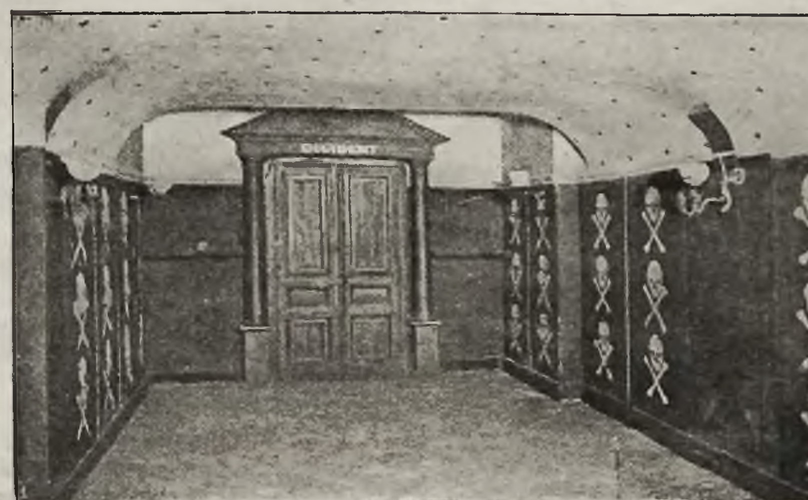
Wolnomurarstwo ostatnimi czasy mało dawało znaków życia, bo silniejsze i szersze a jawne prądy w życiu społecznem odgrywają dziś dominującą rolę, podczas, gdy ono jest sektą burżoazyjną, tylko dla ludzi zamożnych otwierającą podwoje swych lóż tajemniczych.



Wolnomurarze francuscy: Wejście do loży masońskiej »Etienne Dolet« w Orleanie.



Wolnomurarze francuscy: Wewnętrzna dekoracya sal loży masońskiej »Etienne Dolet« w Orleanie.



Wolnomurarze francuscy: Wewnętrzna dekoracya sal loży masońskiej w »Etienne Dolet« w Orleanie.

Przy obchodzie jednak uroczystości dorocznej w Orleanie na cześć Joanny D'Arc, w dniu 8 maja b. r., opinia publiczna we Francyi została poruszona wiadomością, że masoni domagają się w niej udziału pomimo, że uroczystość ta nosiła zawsze charakter katolicki. Kościół zaś zwalczał i zwalcza dotąd wolnomurarstwo w sposób jak najenergiczniejszy. Skończyło się na tem, że masoni wzięli udział w uroczystości, duchowieństwo zaś katolickie wstrzymało się od niej, chociaż Dziewica Orleańska zaliczoną jest w poczet świętych.

Ze względu na zainteresowanie powszechne, jakie ten zatarg wywołał, nawet daleko po za granicami Francyi, podajemy naszym Czytelnikom w dzisiejszym numerze widok zewnętrzny loży masońskiej w Orleanie, noszącej nazwę „Etienne Dolet“, na pamiątkę słynnego kacerza spalonego w Paryżu w 1546 roku, a także widok wewnętrznej dekoracyi ścian jej ubikacyj, której nie można odmówić fantastyczności, graniczącej dla niewtajemniczonych ze śmiesznością.





Wolnomurarze francuscy: Wewnętrzne dekoracye sal loży masońskiej »Etienne Dolet« w Orleanie.

Wybory w Krakowie.

W dniu 17 maja słońce wzeszło nad Krakowem wspaniale. O wczesnych godzinach ulice i plantacye, posiadające teraz urok wiosny, która tak późno do nas zawitała, miały taki wygląd, jak gdyby to nie był ów „dzień historyczny“, lecz zwykły dzień piątkowy. Pogoda zaczęła się mienić. Chwilami z poza niewielkich chmurek, dogrzewało s'ońce tak ostro, że nadejście burzy zdawało się pewnem.

Było gorąco i parno...

Podobny nastrój panował wśród licznej rzeszy wyborców, spieszących do urny wyborczej. Dwa stronnictwa: socyalno-demokratyczne i demokratyczne związane z konserwatywnem, stanęły jak jeden mąż do walki przy urnie wyborczej. Była ona gorącą w całem znaczeniu tego słowa, lecz przeprowadzoną w taki sposób, że zaszczyt przynosi przeciwnikom. Bez awantur, bez skandali, bez obustronnego terroru spełniono obowiązek obywatelski, oddając głosy tym, których uznano za najgodniejszych do piastowania mandatów z miasta, co do tej chwili, jako najstarszy brat Warszawy, rządzi rozumem Polski, podczas gdy ona jest jej sercem.

Poważne mniejszości, jakie otrzymali pobici kandydaci, dowodzą, że czasy zaiste się zmieniły, że wiele dawnych zapatrywań trzeba obecnie zmienić i że gdy chodzi o prawdziwe dobro kraju, tam ciasne zapatrywania partyjne powinny być usunięte w kąt, skoro otwierają się nowe horyzonty dla pracy.



Wybory w Krakowie: Przed lokalem wyborczym okręgu »Nowy Świat — Stradom« w domu gdzie mieści się okręgowy Urząd pracy.



Wybory w Krakowie: Przed lokalem wyborczym okręgu »Wesoła« na Strażnicy pożarnej, przy ulicy Kolejowej.



Wybory w Krakowie: Tłumy, otaczające straż wojskową przed lokalem wyborczym okręgu »Kazimierz« w gmachu dawnego ratusza przy placu Wolnica.

społecznej. — Z chwilą, gdy sojusz między stronnictwem konserwatywnem a rozmaitymi odcieniami demokracyi polskiej stał się faktem, wynik wyborów z miasta Krakowa był tem więcej zagadkowym. O ile bowiem przy warunkach dawnej ś. p. ordynacyi wyborczej można było z góry przewidzieć rezultat pokojowej walki w lokalach wyborczych, o tyle znów teraz był on wątpliwym ze względu na czynniki nowe, jakie do tej walki zostały powołane.

I jeszcze na jeden szczegół należy zwrócić uwagę.

Wybory, jakie odbyły się poza granicami Galicyi w dn. 14 b. m., dawały poniekąd dyrektywę galicyjskim, względnie krakowskim wyborcom. Pomimo tego jednak wyborcy naszego miasta wyrobili sobie najwidoczniej inne przekonania, skoro ich głosy w swojej większości padły nie na przedstawicieli partyi socyalistycznej. W tym wypadku przytoczyćby można przysłowie łacińskie, które twierdzi, że „wynik wojny i procesu jest niepewny“ — takim zaś „procesem“ społecznym są wogóle każde wybory do ciał parlamentarnych a tembardziej były wybory ostatnie, które odbyły się na zasadzie czteroprzymiotnikowego głosowania, o jakie tak chodziło skrajnej lewicy byłego parlamentu austryackiego.

* * *

Około godz. 9-tej rano zaczął Kraków się ożywiać i przybierać niezwykłą cechę. Proszę sobie wyobrazić, że gród Krakusa, mieszczący w swych murach sześć razy więcej szynków i rozmaitego rodzaju lokali, gdzie się alkohol sprzedaje, a dwanaście razy więcej niż szkół — naraz został pozbawiony tych przybytków. Srogie zarządzenia prezydenta miasta zamknęło ich podwoje na całą dobę: od czwartkn wieczorem aż do godz. 6 rano w sobotę.

Kraków tedy trzeźwy przystąpił do wyborów i wykonywał je o tyle trzeźwo, o ile ubocznemi drogami nie dostawał się do owych przybytków, gdzie wydawano alkohol za darmo lub sprzedawano go za zwykłą cenę. Naturalnie, lokale pierwszorzędne, gdzie „10.000“ pierwszej klasy Krakowian mogło śmiało oddawać się wszelkiego rodzaju libacyom na powodzenie swych kandydatów, lub na „pohybel“ przeciwnikom, były otwarte.

W tem rozlegają się miarowe kroki po wyboistym bruku stosunkowo pustych ulic. To idą oddziały piechoty w „umundurowanin polowem“ (Feldadiustirung). Tornistry z płaszczami do nich przypiętymi, dwie ładownice, oczywiście pełne ostrych ładunków, oficerowie z szarfami (Feldbinde). Wszyscy nastrojeni poważnie — idą bowiem spełniać obowiązek obywatelski tj. bronić „wolności wyborów“. — Towarzyszą im urzędnicy policyjni w mundurach, ajenci policyjni w ubraniach cywilnych i „comme de raison“, odpowiednia ilość naszych sympatycznych obrońców porządku publicznego z z błyszczącymi półksiężycami na piersiach, wśród których to obrońców ci, co siedzą na koniach i nie mogą dać sobie z nimi rady, stanowią nieustanną uciechę gawiedzi.

Przed wszystkimi lokalami wyborczymi, gdzie onegdaj składali Krakowianie swe głosy, wszędzie stało wojsko i policya celem utrzymania porządku.

Rozmaite przeszkody, do których poczciwa, w baranią cierpliwość uzbrojona publiczność krakowska jest zresztą przyzwyczajona, nie powstrzymywały jej wcale od gromadnego spieszenia na plac WW. Świętych, na ul. Kolejową i t. d. — tam, gdzie wybierać miała tych, co na Franzens-



Wybory w Krakowie: Przed lokalem wyborczym okręgu »Śródmieście« przy placu WW. Świętych.



Wybory w Krakowie: Przed lokalem wyborczym okręgu »Kazimierz« w dawnym r tuszu Kazimierskim.



Wybory w Krakowie: Wojsko odpycha tłum cisnący się do lokalu wyborczego okręgu »Nowy Świat—Stradom«.

ringu w Wiedniu będą radzili, jak „patres conscripti“ o losach kraju i państwa.

* * *

Przypatrzmy się teraz na zdjęciach z natury, jakie wykonał nasz fotograf, p. W. Lis, aparatem redakcyjnym podczas najciekawszych momentów walki wyborczej.



Wybory w Krakowie: Wyborcy gromadzą się przed szkołą św. Wojciecha, przy ul. Biskupiej.

Przed lokalem wyborczym okręgu „Śródmieście“ który mieścił się przy placu WW. Świętych, a gdzie pobił swego kontrkandydata, dra Marka, na głowę dr. Staniszewski, rozwinięto największą pompę wojskową, jak to widać ze zdjęć załączonych. Oddziały 20-go i 56-go pułku wyciągnięto tam po jednej i po drugiej stronie kościoła Franciszkanów. Dziedziniec gmachu magistratu zajęła rezerwa, gotowa każdej chwili pospieszyć, gdyby namiętności polityczne były zakłóciły porządek. Broń w kozły złożona, rynsztunek pod nią na ziemi, konie oficerskie trzymane za uzdę — jednem słowem pogotowie wojskowe drugiego stopnia. Charakterystyczne jest zdjęcie portalu gmachu wyborczego, gdzie widać prawie tylu przedstawicieli władzy, co i wyborców.

Tymczasem prezydent Leo, ze zwykłym sobie olimpijskim spokojem i uprzejmością, wydawał osobiście przez prawie cały dzień duplikaty legitymacyj wyborcom, którzy mieli „nieszczęście“ je zgubić.

W tym lokalu ścisk, względnie biorąc, był jeszcze najmniejszy, bo przeważająca liczba wyborców, należących do inteligencyi, starała się swem zachowaniem nie utrudniać sytuacyi.

Inaczej natomiast przedstawiała się sprawa w okręgu „Nowy Świat-Stradom“, który wybierał w okręgowym Urzędzie pośrednictwa pracy.

Walka była tu już o wiele gorętszą, napór wyborców mocniejszy. Zwolennicy p. Sikorskiego, który utrzymał się na placu boju znaczną większością przeciw socyaliście p. Englischowi, odznaczali się takimże samym zapałem wyborczym, jak ich przeciwnicy.

Z okręgu „Piasek - Kleparz“ głosowano w szkole barakowej im. św. Wojciecha przy ul. Biskupiej. Kandydat, p. Zielewski miał w tym okręgu wybór zapewniony. I to jednak przekonanie jego zwolenników nie zmniejszyło bynajmniej napięcia walki. Tak zw. „hyeny wyborcze“ uwijały się obustronnie, prowadząc w ostatniej chwili swe ofiary do urny wyborczej. Losy przeważyły jednak szalę na niekorzyść p. Misiołka, który mimo największych wysiłków swoich przyjaciół politycznych znalazł się w znacznej mniejszości.

Ale jeżeli już gdzie, to, w okręgu „Wesoła“ przeciwnicy ścierali się nie na żarty. I nic dziwnego; stanęli tam bowiem naprzeciw siebie dwaj „championowie“ dwóch głównych partyj krakowskich: dr. Petelenz i p. Daszyński. I tu jednak nie dopisało szczęście zwolennikom socyalnej demokracyi, bo dr. Petelenz przeszedł większością 121 głosów. Udział głosujących w tym okręgu był największy i nie osłabł nawet popołudniu, gdy skutkiem znacznego spadku temperatury atmosferycznej, wywołanego silnym deszczem, ochłodziła się również temperatura zapału wyborczego po innych okręgach. Jaki tam ścisk panował, pokazuje się doskonale z odnośnego zdjęcia, na którem widać, że trzeba było zamknąć chwilowo bramę, aby dać możność wyborcom oddania w spokoju swych głosów.

(Ciąg dalszy na stronie 13)



Wybory w Krakowie: Tłum wyborców przed lokalem jednej z sekcyj wyborczych okręgu »Kazimierz«.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

7 (Ciąg dalszy).

— Nie!... Będę go dopiero jutro przesłuchiwał. Wiem, że jest cierpiący; chcę mu zostawić trochę spokoju po tych przejściach, które zdaje się głębokie wrażenie na nim wywarły. A chciałbym również przystąpić do przesłuchania, mając już coś pewnego w rękach... cośkolwiek, bo w końcu dotąd nic się nie wie. Mamy w rękach domniemanego zabójcę i dwoje zamordowanych ludzi, których, jak utrzymuje oskarżony, nie zna. Zobaczymy, co nam przyniesie ta rewizya. Jutro rano, gdyż teraz jest już zapoźno, każę zrobić zdjęcia fotograficzne z zamordowanych i poproszę o sekcyę zwłok. Spodziewam się również, że dostanę do jutra gotowy raport lekarza, sprawdzającego rodzaj śmierci ofiar. Wydałem już w tym względzie rozporządzenie... Ale pan wie, jak wiele nam zabierają drogiego czasu formalności; z mej strony uczyniłem. co mogłem.

— I otrzymał pan już pierwsze sprawozdanie?

— Tak, jeszcze przed drugą godziną.

— O, to powinszować! No i są ludzie, którzy złośliwie zarzucają sprawiedliwości opieszałość w akcyi.

Rewizya była w toku.

Wszystkie zamki zostały otworzone przez sprowadzonego ślusarza, ubrania i bielizna przeszukane drobiazgowo, pieniądze znalezione starannie zliczone i odłożone na bok. Papiery zaś przejrzano szybko i dokładnie, sortując je i wiążąc w oddzielne paczki.

Nie było ich wiele, lecz każdy świstek dla policyi miał wysoką wartość.

Papiery osobiste wykazywały, iż zmarły był rodem z Bordeaux i miał lat 50. Znaleziono pokaźną ilość weksli zaprotestowanych, opiewających na poważne sumy, inne zaś były prolongowane i szalenie obciążone procentami. Jeden kwit np., wydany na 3000 fr., urósł do 4200, wypłacalnych za trzy miesiące. I jeszcze zachodziło pytanie wobec tych szalonych procentów, czy podpisy były wiarygodne? Najciekawsze było sprawdzanie nazwisk podpisujących. Byli to przemysłowcy, dwaj książęta autentyczni, damy z półświatka, synowie znanych i bogatych rodzin, damy z arystokracyi, deputowani i wielu utytułowanych cudzoziemców...

Przytem znaleziono mnóstwo listów przeróżnej treści, błagających o cierpliwość, o zwłokę, inne pełne zuchwałych pogróżek i przezwisk, inne jeszcze wyświetlające najskrytsze rodzinne tajemnice bardzo kompromitujące i nierozważne.

— No, ładna paczka — mruczał Jaminot — przerzucając i przewracając wszystko, opanowany gorączką szukania. — Wystarczyłoby do założenia kantoru.

— Będzie pan miał z tem porządną robotę — szepnął pan Desmondois do ucha pana Noileau. — Nie zazdroszczę panu tej wyjątkowej przyjemności!...

— Eh! Widziałem już i miałem do czynienia z jeszcze lepszymi kawałkami.

Cała ta korespondencya, choć pisana w języku francuskim, pochodziła z różnych stron świata: z Paryża, z prowincyi, Ameryki, Hiszpanii, Rumunii, Rosyi, Belgii, nawet z wysp Antylskich.

Ale z Anglii nie było ani świstka!

Była to rzecz dość szczególna; pomimo skrzętnych poszukiwań nie natrafiono nawet na kopertę, noszącą stempel angielski. A może Bélac sprzedawał je, lub oddawał je zbieraczowi marek, lub też miał zwyczaj niszczyć je zaraz po otrzymaniu.

Pan Cardec kazał odłożyć na bok cały stos luźnych, zapisanych cyframi i rachunkami kartek.

Rewizya była na ukończeniu.

Pan Cardec otworzył jeszcze jedną szufladę starego, nieużywanego biurka, zawierającego dawne pokwitowania z wynajmu mieszkania i rachunki tapicera, gdy nagle wydał okrzyk zdumienia. Odkrył dwa listy zżółkłe.

Były one bez daty i niewiadomo do kogo pisane.

Zaczynały się zwykłem „panie“ i kończyły banalnem „proszę przyjść“. Podpisane były: Leon Germonpré. Listy były krótkie.

Jeden z nich zawierał te słowa:

„Niepotrzebnie mnie pan tak napastujesz! Wiem dobrze niestety, że jestem w rękach pana i nie prędko będę mógł z nich się uwolnić! Co panu z tego przyjdzie, jeżeli zniecierpliwiony i naglony ratami pana, doprowadzi mnie pan do jakiego szalonego czynu? Chyba pan na tem nic nie zyska?...“

Drugi list był tej treści:

„Potwierdzam tylko to, co panu wczoraj zeznałem osobiście. Jest to kwestya zaledwie kilku godzin. Jutro z wszelką pewnością będę mieć w rękach środek, pozwalający mi uwolnić się od pana. Możesz pan uczynić, co się panu podoba. Dodaję, że może pan liczyć na moją długotrwałą pamięć...“

Sędzia śledczy przeczytał uważnie oba listy i włożył do kieszeni.

— No i co, panie szefie? — zapytał pocichu ajent Jaminot — panie Cardec, co pan o tem teraz sądzi? Czy jeszcze będzie pan wątpił o winie oskarżonego?

— Kto to wiedzieć może!

— Przypuśćmy, że nic nie powiedziałem... Co prawda wiele rzeczy jest jeszcze bardzo niejasnych...

Do tej pory przeszukano drobiazgowo trzy pokoje stanowiące mieszkanie pana Bélac; salonik, bardzo skromnie umeblowany, pokój sypialny zawierający jedynie najniezbędniejsze sprzęty i jadalnię, zamienioną na kancelaryę biurową. Nie zauważono nic szczególnego; ani kasy ogniotrwałej, ani śladów, żeby większe jakie sumy były złożone w banku. Gdzież ten człowiek chował pieniądze? Poszukiwanie po bankach i kantorach może wyjaśni tę tajemnicę?

Ajent Jaminot szukał dalej. Dostrzegł jakieś drzwi w przedpokoju, otworzył je i wszedł, pozostawiając zwierzchników w dalszych pokojach, zajętych jeszcze rozpatrywaniem papierów. Znalazł się w kuchni, która zdaje się od dawna nie była używaną. Pod wodociągiem w białej paczce drewnianej, znajdowała się brudna bielizna; na półce stały trzewiki i jakieś inne rzeczy.

Jaminot spieszył się, nie poszedł po świecę, lecz zapalił zapałkę i przy jej świetle usiłował rozpoznać owe rzeczy.

Była to podróżna torbeczka i próżna walizka. Torbeczka stara, zniszczona, nie miała na sobie żadnego szczególnego znaku, lecz na walizce po jednej stronie widniał przylepiony papierowy napis: „Londyn-Paryż“. Jaminot aż skoczył z radości...

— Oh, wiedziałem przecież, że dowiem się coś o tym dyabelskim „Londynie“ — zawołał uszczęśliwiony, przypatrując się dalej walizce i nie zwracając uwagi, że dopalająca się zapałka parzy mu palce.

Jaminot był skromnym człowiekiem... Bez widocznego tryumfu, z miną najspokojniejszą powrócił do przełożonych i przedstawił im rzecz znalezioną.

. . . .

Nazajutrz rano koło godziny jedenastej, Germonpré i pan Noileau sędzia śledczy rozmawiali w kancelaryi policyi, siedząc naprzeciw siebie.

— Objaśnienie, jakie mi pan przed chwilą dałeś, o prywatnem życiu pana — mówił pan Noileau — są zupełnie wystarczające, jako na pierwsze przesłuchanie, które, jak panu wiadomo, jest czystą formalnością. Na dziś mamy dosyć, nieprawdaż? Jednakże, gdyby pan tego pragnął, możemy dalej prowadzić badanie. Jestem do pańskiej dyspozycyi.

Pan Noileau był skrupulatnym, uczciwym urzędnikiem. Pomimo niezwykłej sumienności, cierpliwości i nadzwyczajnej grzeczności względem oskarżonych, posiadał on również niektóre wady. Był drobiazgowym do przesady, ostrożny, pracowitem badaniem wyczerpywał ludzi i doprowadzał ich często do ostateczności. Niektórzy twierdzili, że był to z góry obmyślony system.

Germonpre odpowiedział żywo:

— Oh tak! Rób pan co chcesz. Niechże się to okropne położenie już raz wyświetli!

— Ma pan słuszność.

— Ale naprzód pozwól pan sobie serdecznie podziękować za jego względność.

— Ale za co właściwie, mój panie?

— Uchroniłeś mnie pan przed okropnym wstydem! Nie kazałeś mi pan założyć kajdanek i pozwoliłeś przeprowadzić korytarzami, aby mnie nie widziano.

— To bardzo naturalne. Nie traktuję pana jako zwykłego mordercy, a potem nie mam potrzeby ukrywać tego, że trudno mi zapomnieć, iż byłeś pan moim kolegą szkolnym i towarzyszem; jestem w zupełnej zgodzie z sobą. A teraz słuchać będę uważnie wszystkiego, co mi pan powie na swoje uniewinnienie... dopomogę, by prawda została odkrytą. Zastanów się pan uważnie, zbierz myśli... Czasu mamy dosyć...

— Dziękuję serdecznie, lecz nie będę korzystał z rady pana. Nie mam potrzeby zastanawiać się. Powiem to, co wiem o tej przeklętej tajemnicy. Było to tak:

I tu Germonpré poważnie, z akcentem wielkiej szczerości, opowiedział dokładnie zdarzenie dnia ubiegłego, nie ukrywając nic, bez zażenowania, bez skrupułu.

Sędzia słuchał z uwagą, nie przerywając opowiadania.

— Doskonale! — zawołał, gdy Germonpré skończył. — Poszedłeś pan za tą nieznaną kobietą bez zastanowienia, bez podejrzenia, nie rozumiejąc, że to trochę było ryzykowne, lecz wybacz mi pan wyrażenie, że nie byłeś zupełnie normalny, nieprawdaż? Libacya, do której nie byłeś pan wcale przyzwyczajony, wyprowadziła pana z równowagi?...

— Tak jest.

— A teraz przypomnij sobie pan, czy w czasie samej przechadzki, począwszy od śniadania, bo to, co było przedtem, jest bez znaczenia i już wyjaśnione, nie zdarzyło się panu nic takiego, koniecznie coś szczególnego, coby mogło nam służyć za wskazówkę, gdzie się pan znajdował w danej godzinie?

— Nie pamiętam nic takiego, choć przyznaję, starałem się koniecznie coś sobie przypomnieć.

— Nie było jakiej kłótni na ulicy, jakiejś sprzeczki z dorożkarzem.... lub z kimkolwiek innym?

— Nie.

— A w kawiarniach, do których pan wchodził?

— Pamiętam tylko kawiarnię na ulicy de la Daix, gdzie wypiłem szklankę wina, poza tem nic. Ah! prawda, jest drobiazg, nie przyjęto odemnie w tej kawiarni włoskiego franka do wymiany, którego gdzieś mi wsunięto przez nieuwagę.

— Doskonale. A na koncercie? Nie wpadł pan komu w oko? Jakiemu kontrkawalerowi... urzędnikowi, pełniącemu służbę?

— Nie. Przynajmniej nie zauważyłem tego.

— Szkoda, wielka szkoda! Czy pan nie zwrócił uwagi na jakiś szczegół nadzwyczajny na scenie, w sali?

— Nie.

— Pan siedział w krzesłach, przy orkiestrze? W którym rzędzie?

— W drugim na prawo. Prawie ukryty byłem za klarnecistą, który okropnie hałasował.

— Dobrze. Czy przypomina pan sobie sąsiadów?

— Tak. Na lewo siedziała bardzo gruba dama w niemożliwie wielkim kapeluszu, na prawo zaś jakiś pan udekorowany, który mnie denerwował swoim kaszlem uporczywym.

— Dobrze. To już wszystko?

— Tak, wszystko.

— Dobrze. Sprawdzimy to wszystko i weźmiemy na świadków tych ludzi, jak również i tych, o których pan wspomniałeś, żeś ich zauważył spacerujące przed Moulin-Rouge. A więc ta kobieta, ta przygodna nocna towarzyszka nawet panu nie wyjawiła swojego imienia?

— Nie chciała dać się poznać.

— Czy miała obejście zwykłej publicznej dziewczyny? Przecież pan jako mężczyzna mogłeś łatwo to dostrzedz.

— O, nie! Zauważyłem przeciwnie, że była bardzo dobrze wychowana, inteligentna i wykształcona.

— Niech się pan stara wszystko dobrze sobie przypomnieć... Czy nie zdradziła się słówkiem o swoich stosunkach, miejscu zamieszkania, zatrudnieniu?

— Ani słówkiem.

— Dała panu kieliszek Chautreuse do wypicia?

— Tak.

— Nie zauważył pan pijąc, że likier miał jakiś niezwykły smak, był gorzki lub zamocny?

— Nie. Byłem spragniony, wypiłem jednym tchem.

— A ona czy również wypiła?

— Tego nie zauważyłem: byłem oszołomiony. Przypuszczam, że musiała również wypić.

— Bardzo możliwe. Znaleziono obydwa kieli-

szki wypróżnione. No, a teraz pomówmy o Bélacu. Co pan ma o nim do powiedzenia?

— Jaki Bélac?

— No, posłuchaj mnie pan. Idź za moją życzliwą i szczerą radą. To bardzo ważne dla pana, pan to rozumie. Zastanów się dobrze i nie obieraj pan systemu milczenia lub przeczenia.

— Przeczenia?! Ależ ja pana wcale nie rozumiem!

— Ejże! Przeczeniem tylko pan sobie zaszkodzi, proszę mi wierzyć! Szczere, dokładne wyznanie może wyjaśnić wszystko... może pan wpadłeś w zastawioną zasadzkę i straciłeś przytomność umysłu?

— A czy ja już wiem, co to było! Wierzaj mi pan, że kompletnie nie pamiętam, co się ze mną stało. Ale daję panu słowo honoru, że mówię prawdę. Nie znam żadnego Bélaca.

— Stanowczo pan to utrzymuje?

— Ależ oczywiście!

— I tego pan nie wie, że on jest właśnie zamordowanym człowiekiem?

— Przysięgam panu, że nie wiedziałem! Przysięgam, że po raz pierwszy zobaczyłem go, gdy go wyciągnięto z pod tej kanapy.

— Więc nie łączyły pana z nim żadne stosunki? Nie zależało panu na jego zniknięciu?

— Mnie?

Okrzyk ten był tak szczery, tak prawdziwy i nieobliczony, że pan Noileau został nim poruszony.

Miał chwilę wahania. Ale dowody były tak jawne, tak bezsprzecznie oskarżające... A z iluż jeszcze lepszymi komedyantami miał do czynienia w czasie swojej kilkunastoletniej służby sądowej!...

Odpowiedział też sucho:

— Jak się panu podoba. Zapewne więc też pan nie wie, jakim sposobem skrwawiony sztylet znalazł się w kieszeni pańskiego surduta i dlaczego koszula pańska nosi widoczne ślady krwi? Mógłbym nie nalegać wobec milczenia pana. Nie może mi pan również wytłómaczyć, dlaczego trup leżał obdarty z ubrania, nagi i komu zależało na zniszczeniu tych ubrań?

— Ja nic nie rozumiem z tego wszystkiego... zapewniam pana. Do ostatniej chwili powtarzać będę niezmiennie: Nic a nic nie rozumiem.

— Tego już za wiele. Wytłómacz się pan choć atakiem nerwowym, lunatyzmem, uderzeniem krwi do mózgu, czy ja wiem już w końcu czem! Pan przecie rozumie, że takim naiwnym sposobem obrony gubi się pan nieodwołalnie.

— Jeszcze panu raz powtarzam, że to szaleństwo! Jestem tego samego zdania, co pan, że jestem zgubiony. Ale powtarzać będę, że oskarżenie jest fałszywe!

— A czy i własnego pisma wyprze się pan także?

— Moje pismo?

— Patrz pan.

I tu pan Noileau podsunął mu pod oczy owe dwa znalezione listy.

Germonpré zdumiał się na chwilę.

Obejrzał dokładnie oba listy i rzekł głosem, wyrażającym szczere zdziwienie:

— Tak, to są moje listy, przyznaję. Ale jakim sposobem znalazły się one...

— U pana Bélac.

— U pana Bélac? u tego człowieka?

— Tak, u niego. Pan zaprzeczysz oczywiście i powiesz, że nic nie wiesz o tem. Spodziewałem się tego.

— A więc tak. Ja nie wiem, co to znaczy! Ależ to szatańska sprawa! Może doprowadzić do szaleństwa! Błagam pana, pozwól mi odpocząć na chwilę. Jestem zupełnie wyczerpany. Tracę przytomność. Zdaje mi się, że mi coś głowę rozsadza!...

— Ależ i owszem, odpocznij pan do woli! A może pan pragnie odłożyć do jutra naszą rozmowę?

— Nie, nie, za nic w świecie!

Nastąpiło długie milczenie.

Germonpré oddychał z trudnością. Siły go widocznie opuszczały. Napięcie nerwowe jedynie podtrzymywało go jeszcze. Mózg pracował szalenie.

Czynił nadludzkie wysiłki, aby nie stracić przytomności. Twarz mu pobladła a na czoło wystąpiły duże krople potu.

— Ah! – zawołał nagle. — Teraz wiem wszystko! Rozumiem! Przypominam sobie dokładnie.

— Odpocznij pan jeszcze.

— Nie, dziękuję. To już przeszło. Tak, te dwa listy pochodzą z bardzo dawnych czasów.

— Z jak dawnych?

— Z przed lat dwudziestu.

— Oh!

— Tak, były pisane w czasie, kiedym zdawał egzamina prawnicze. Moi rodzice ludzie zapracowani i biedni, przysyłali mi co miesiąc nader skromną sumę, dzięki której jedynie nie umarłem z głodu. W tym czasie miałem kilka większych wydatków: wpisowe i kupno potrzebnych do egzaminu książek. Znalazłem się w okropnem położeniu. Nie wiedziałem, co robić, widząc całe moje prace kilkuletnie, nadludzkie wysiłki by ukończyć nauki, zniszczone, stracone i to w chwili, gdy nareszcie do-



Podsunął mu pod oczy owe dwa znalezione listy.

chodziłem do upragnionego celu. Miałem silną wolę. Postanowiłem wytrwać, co bądź się stanie. Pewien kolega mój polecił mnie lichwiarzowi, który pożyczył mi potrzebnej sumy naturalnie, że na okropny procent. Było mi to obojętne.... Czułem się uratowanym. Mogłem przystąpić do egzaminu i prowadzić dalej nauki. Lecz gdy nadszedł termin oddania pożyczki, nie miałem pieniędzy...

— To było zupełnie naturalne, skoro pan nie miał z nikąd dochodów lub pomocy. Pozwól pan sobie powiedzieć, że pomimo naglących okoliczności, postąpiłeś bardzo nierozważnie i lekkomyślnie. Zaplątałeś się pan w sprawę, gdy wiedziałeś z góry, że...

— Że ją załatwię, tak!

— Ah, proszę! i to jakim sposobem?

— Przyjaciel mojej rodziny, mój ojciec chrzestny, któremu zwierzyłem się z tego kłopotu, obiecał mi wręczyć taką sumę w danym terminie. I wtedy dopiero uspokojony, dałem swój podpis...

— A nie mógł panu dopomódz natychmiastowo, uwalniając pana tym sposobem z przymusowej pożyczki lichwiarza?

— Nie; w tym czasie właśnie nie mógł.

— Proszę, niech pan mówi dalej.

— Mój ojciec chrzestny zawiódł mnie w dzień terminu...

— Ah, tak?

— Tak jest. Pomimo szczerych chęci, nie mógł mi przesłać pieniędzy w dzień naznaczony... dopiero po trzech tygodniach otrzymałem przesyłkę!....

— No i wtedy mogłeś pan zapłacić lichwiarzowi?

— Pojmuje pan z jakim pośpiechem i z jaką radością to uczyniłem!

— I zapewne nie zachowałeś pan pokwitowania?

— Po co?

— No, mogło się to panu było przydać. Trzeba być zawsze ostrożnym... Cóż dalej?

— Podczas tej zwłoki lichwiarz nie dawał mi spokoju; napastował, groził, doprowadzał do szaleństwa. Widziałem już przed sobą karyerę moją na zawsze zniszczoną. W tym to czasie napisałem do niego kilka listów; między nimi były oto te dwa listy.

— A jak się nazywał ten lichwiarz? Zapomniał mi pan powiedzieć jego nazwiska.

— Dokładnie sobie nie przypominam... Jestem tak zdenerwowany!... Wiem, że mieszkał przy ul. Buci... w podwórzu... Poczekaj pan! Mathieu, Mathias... coś takiego.

— Mathissen może?

— Tak, tak! Mathissen! To to! Mathissen! Malutki, stary człowieczek w okrągłych okularach... Widzi pan, przypomniałem go sobie.

— Pozwól pan. Wierzę we wszystko, jednakże gdzie dowód, że właśnie te dwa listy, o których mówimy, są właśnie te same, które pan niegdyś do niego pisałeś?

— Jakto?

— Niech pan tylko uważa. W listach tych niema mowy o kwestyach pieniężnych i również dobrze mogą się odnosić do innej jakiej sprawy. Trzeba będzie to zbadać. Przedewszystkiem nie są adresowane do owego Mathissena, który zmarł już przed kilkunastu laty, wiem to z pewnością; a szkoda, jego poświadczenie byłoby panu bardzo potrzebne...

— Nie są również adresowane do Bélaca, o którym mi pan mówisz.

— Nie, ale były w jego posiadaniu, co wydaje się bardzo dziwnem, bo skąd do nich przyszedł?

— Ja już nic niepojmuję, to wszystko jest tak niejasne, że już głowę tracę!

— Przedewszystkiem jest pan bardzo zmęczony. Każę pana odprowadzić. Dopiero jutro poproszę pana o dalsze wyjaśnienia. Niech pan się stara wypocząć należycie; trzeba żebyś pan w pierwszym rzędzie odzyskał swoją zimną krew i panowanie nad sobą. Radzę panu życzliwie, a jeżeli do jutra przypomnisz pan sobie cokolwiek, to proszę, nie krępuj się i każ mnie natychmiast sprowadzić. Jestem zawsze na usługi pana.

Mówiąc to pan Noileau wstał, zadzwonił i kazał wchodzącemu dozorcy odprowadzić oskarżonego do celi.

ROZDZIAŁ VII.

Pracowite poszukiwanie.

Wezwany przez pana Noileau lekarz sprawozdawca orzekł w raporcie, że mężczyzna zamordowany został koło godziny dziesiątej lub jedenastej najpóźniej, a kobieta najpewniej wczesnym rankiem koło czwartej.

Sędzia Noileau, zamiast czynienia poszukiwań i dochodzeń w kierunku zamordowanych, które mogłyby wyświetlić tę tajemniczą sprawę, przedewszystkiem postanowił sprawdzić opowiadanie oskarżonego i dowiedzieć się, czy rzeczywiście spędził wieczór w sposób tak urozmaicony i romantyczny.

To był ważny punkt w sprawie. Lecz poszukiwania pomimo, że były prowadzone starannie i sumiennie, nie przyniosły oczekiwanego przez pana Noileau skutku. (C. c. n.)

(Dalszy ciąg artykułu zamieszczonego na str. 10).

Najżywsze jednak zajęcie wyborami, które okazywało się na zewnątrz gęstym tłumem ludzi żywo gestykulujących, a głośno objawiających swe zadowolenie lub irytacyą, można było obserwować w okręgu „Kazimierz“. Głosował on w szkole miejskiej, która się mieści w dawnym ratuszu przy placu Wolnica i w szkole barakowej przy ul. Dietla. Zdawało się, że w tym okręgu nadradca Sare ma wybór zapewniony. Tymczasem zjednoczywszy się z socyalistami, żydzi postępowi przeprowadzili swego kandydata doktora Adolfa Grossa.

Wschodni temperament wyborców objawił się szczególnie, gdy po skrytynium został znanym powszechnie wynik wyboru. Oklaskom i okrzykom, wydawanym przez licznie zgromadzoną młodzież nie było końca, ale i tam także nie przyszło — jak zresztą wszędzie w Krakowie - do jakichkolwiek zaburzeń.

* * *

Jedno z naszych zdjęć przedstawia akt wyborczy, jaki się dokonywał w samym gmachu magistratu, a mianowicie w sekcyi I. okręgu "Śródmieście“, gdzie głosowała sama „śmietanka“ Krakowa. Jestto właśnie chwila, gdy przewodniczący komisyi wyborczej, złożoną kartkę wkłada do skrzynki, przez eufemię zwanej urną wyborczą.

W czasie kampanii, jaka poprzedziła wybór pięciu posłów krakowskich niebrakowało oczywiście momentów wszelkiego rodzaju reklamy dozwolonej ramami nowej ustawy o ochronie wolności wyborów. Widzieliśmy tedy porozciągane od kamienicy do kamienicy, ponad ulicą druty, a na nich zawieszone tablice z nazwiskiem polecanego kandydata. Mnóstwo wyrostków roznosiło takie tablice po ulicach i placach, wszelkie wreszcie miejsca, gdzie tylko można było umieścić agitacyjne plakaty, zostały nimi od góry do dołu oblepione, jak to widać na jednem ze zdjęć, odtwarzającem lokal wyborczy okręgu „Nowy Świat—Stradom“.



Wybory w Krakowie: Przed lokalem wyborczym okręgu »Wesoła« na strażnicy pożarnej.

* * *

Nie mogło się oczywiście obejść przy tak gorącym nastroju wyborczym bez małych tu i owdzie wykroczeń, które zakończyły się aresztowaniem pewnych indywiduów, albo zbyt ucieszonych lub zmartwionych wynikiem. Spokój jednak nigdzie nie został naprawdę zakłócony.

Już o godzinie 7-ej wieczorem piechota powróciła do koszar, a grupy ciekawych wyniku obywateli rozchodziły się zwolna do domów, lub do tych lokalów publicznych, które z łaski magistratu stały otworem do późnej nocy.

* * *

Nad bezpieczeństwem publicznem czuwały jednak jeszcze władze: głuchy tupot kopyt końskich zdradzał, że patrole kawaleryi przeciągały przez miasto, policya zaś piesza i konna wytrwale stała na posterunkach, aż do rana.

Większość Krakowian tej nocy udała się ze spokojnem sumieniem na spoczynek, ponieważ wybrała w myśl swych przekonań najgodniejszych przedstawicieli do Rady państwa.



Wybory w Krakowie: Lokal wyborczy jednej ze sekcyj okręgu »Śródmieście« w gmachu magistratu, podczas głosowania.

Nowowybrani posłowie z miasta Krakowa:



Dr. Ignacy Petelenz (demokrata). Edmund Zieleniewski (konserwatysta) Dr. Adolf Gross (post. dem.) Tadeusz Sikorski (konserwatysta). Dr. Walenty Staniszewski (kons).

Kronika tygodniowa.

Jeden z moich przyjaciół, wyborca z Wesołej, uciekł z Krakowa przed wyborami. Wyjechał do Warszawy, bo mu — jak mówił — miłe było życie, bo nie chciał stracić opinii dobrego obywatela, bo wreszcie czuł, że sam zaczyna być nieco... niewyraźnie. „Chciałem — mówił — przed miesiącem głosować na Daszyńskiego, jako stały czytelnik „Nowej Reformy“, tak przyjaźnie usposobionej dla „Ignaca“, drukującej jego mowy, solidaryzującej się z wielu jego wystąpieniami. Stronnictwo jej prawie zawsze popierało jego wnioski w Radzie miejskiej — mężowie tego stronnictwa brali udział w zgromadzeniach Ignacowych, składali na nich wyznanie wiary, ilekroć kandydowali do sejmu lub parlamentu. A ponieważ Daszyński był wrogiem Rady Narodowej, przeciwnikiem solidarności Koła Polskiego i nieprzejednanym wrogiem demokracyi narodowej, a „Nowa Reforma“ najzupełniej te poglądy podzielała, — więc byłem w zgodzie z sumieniem i zasadami, pragnąc mój równy, tajny, powszechny i bezpośredni głos oddać Daszyńskiemu. Tymczasem dowiaduję się nagle, że jego kontrkandydatem będzie Petelenz. Na razie myślałem, żem się przesłyszał, ale czytam w moim leiborganie, że tak jest rzeczywiście. Czytam dalej i oczom swoim nie wierzę: dowiaduję się, że bez solidarności ani rusz, że trzeba raz skończyć ze socyalistami, że Daszyński jest taki i owaki, że wyborcy muszą stanowczo głosami swoimi zaznaczyć, że Kraków nie łączy się z antinarodowym kierunkiem, że po jednej stronie stoi c a ł y n a r ó d, a po drugiej stronie Ignac, Marek, Englisch, Misiołek i zbałamucona przez nich rzesza robotników. Ha! pomyślałem sobie, wobec tego głosować będę na Petelenza. Ale czytam znów w „Naprzodzie“, że Petelenz to zdrajca, „kandydat jezuitów“, a naczelnicy mego stronnictwa, którym tak wierzyłem, to banda zaprzedańców, karyerowiczów, że c a ł y n a r ó d (znów c a ł y — widocznie są u nas dwa całe narody) czeka z niecierpliwością zwycięstwa socyalistów, bez którego wolność zejdzie na psy, no i Polski nie będzie. Ładna historya — dam głos Daszyńskiemu! Ale biorę znów do ręki „Nową Reformę“, która zapewnia, że Petelenz był i jest czystym demokratą, że ani on, ani moje dotychczasowe stronnictwo nie zmienia w niczem swoich zasad, swoich najświętszych przekonań. Znowu mnie serce zaczęło ciągnąć do Petelenza i byłbym już, już rozstrzygnął o swojem politycznem stanowisku, gdyby nie to, że czasem spotykam się z „Czasem“. Czytając go, byłem zdziwiony, jak ten ultrakonserwatywny organ unosi się nad demokratą Petelenzem. Wydało mi się to podejrzanem; a nuż to prawda, że to „kandydat Jezuitów“? Wprawdzie nie wiem, co tak złego robią u nas Jezuici — ale „Jezuita“ to straszna rzecz!! Brr!

— Stałem więc na rozdrożu — kontynuował mój uciekinier po powrocie z Warszawy. Chcąc lepiej rzeczy zbadać, udałem się do Wentzla, Hawełki i innych ognisk naszej krakowskiej polityki. Nie będę panom opowiadał szczegółów moich badań — dość, że kiedy jedni wołali: „hyclem będzie ten, co odda głos Petelenzowi!“ to drudzy z równym zapałem dowodzili, że zdrajcą będzie ten, co odda głos Daszyńskiemu. Ani hyclem, ani zdrajcą być nie chcę — więc też już wówczas powstała we mnie myśl ucieczki do Warszawy, zwłaszcza, iż o uchyleniu się od głosowania myśleć nie było można, obie bowiem strony obiecywały kontrolować, kto nie stanie do urny. — Miałem więc perspektywę zostać podwójnym zdrajcą. Na dobitek zacna właścicielka kamienicy, w której mieszkam (zacna dlatego, że już od czterech miesięcy nie podwyższyła mi czynszu) oświadczyła krótko i węzłowato, że jeżeli nie będę głosował za Daszyńskim, to od 1 lipca mogę sobie szukać innego pomieszkania — a naczelnik biura, w którem pracuję, prosił mnie (wiemy, co znaczy taka prośba!), abym mu dał do przechowania moją kartę do głosowania, którą mi zwróci w dzień wyboru wypełnioną już (żebym się nie fatygował) nazwiskiem Petelenza. Tego mi już było za wiele. Nie chcąc narażać się na przenosiny, ani psuć sobie karyery, postarałem się o telegram, donoszący o śmierci najdroższej i „ciepłej“ ciotki i drapnąłem do grodu browningów i ekspropriacyi, tak zachwalanych przez p. Sieroszewskiego. Powróciłem dopiero wczoraj, to jest w trzy dni po wyborach...

— Nawiasem mówiąc — ciągnął mój przyjaciel dalej — o ich przebiegu dowiedziałem się prędzej, aniżeli wy tu w Krakowie...

— Jakto? — zapytałem zdziwiony.

— A tak-to — odpowiedział — że dnia 17 maja o godz. 8 rano, będąc na kawie w cukierni, wyczytałem w „Nowej Gazecie“ dwa telegramy z Krakowa, donoszące, że świetną była organizacya socyalistów, że Gross z Sarem stoczyli zaciętą walkę, że Zieleniewski i Sikorski prawdododobnie przeszli i t. d., tylko jeszcze głosów nie obliczono....

— I to czytałeś pan 17-go maja o godz. 8-ej rano, a więc, kiedy jeszcze nie rozpoczęły się wybory?

— Tak jest, czarno na białem. Naumyślnie przywiozłem ze sobą ten numer „Nowej Gazety“, żebyście wy, dziennikarze krakowscy, nauczyli się, jak należy uprzedzać wypadki. To nie sztuka dać sprawozdanie z tego, co się już odbyło, ale sztuka zdać sprawę z tego, co się dopiero odbędzie. Wy jesteście zacofani, a tam są ludzie prawdziwego postępu...

— A cóż tam słychać w Warszawie?

— Przedewszystkiem strzały, ale do tego tak się ludziska przyzwyczaili, że to już na nich wrażenia nie robi.

— A cóż więcej?

— Więcej? Ha! panuje okropne oburzenie na Góreckiego.

— Cóż to za jeden?

— Jakto? tego nie wiesz, zacofańcze? Górecki uważasz pan, jest to znany dżokej, który jadąc na jakimś „pewniaku“ Kikiligiki, czy coś podobnego, dał się wyprzedzić jakiejś marnej szkapie, za którą totalizator płacił 340 rb.

— Ho, ho! a więc widocznie w Warszawie mają jeszcze pieniądze... No, ale cóż więcej?

— Drugie oburzenie wywołał adwokat Dziewulski, który na zebraniu związku artystów teatrów warszawskich powiedział, że upadek tych teatrów należy w równej mierze przypisać zarządowi jak i dziennikarstwu.

— A cóż na to dziennikarze?

— Naturalnie podnieśli „larum“ i hajże na Soplicę.

— No, bo też rzeczywiscie dziwny zarzut. Jeżeli gdzie, to w Warszawie dziennikarstwo ma formalnego bzika na punkcie teatrów. Nawet w dzisiejszych ciężkich czasach, wśród strasznego haosu, wśród terroru z góry i z dołu, w epoce browningów, w chwili niesłychanie ważnej, kiedy myśli wszystkie zaabsorbowane są polityką, kiedy całe Królestwo żyje w niepewności jutra, nawet dzisiaj całe łamy dzienników są poświęcone sprawozdaniom z byle fars tłómaczonych, łokciowym wzmiankom teatralnym, reklamą dla aktorów, wynajdywaniem wciąż nowych jubileuszów teatralnych, sylwetkami dziesięciokrotnych jubilatów... I tej prasie stawiać zarzut, że wpływa na upadek teatru, no, to wolne żarty.

— Zapewne. Ale idzie o to, co miał rzeczywiście na myśli p. Dziewulski. Nie podejrzewam go o naiwność, a więc sądzę, że właśnie ową teatromanię czynił odpowiedzialną za niepowodzenia sceny warszawskiej. Te pochwały dla byle błazeństw, to traktowanie na seryo głupich i pornograficznych sztuczydeł, musi się odbić na prawdziwej sztuce. Wszak pamiętasz pan, jak chłodno przyjęto Balladynę. Z drugiej strony te obrzydliwe reklamy dla obu płci gwiazd i łojówek teatralnych budzą zarozumiałość, istną megalomanię nietylko wśród sił wyższych, ale i wśród drugorzędnych płaskich komedyantów i półdziewic teatralnych, a następstwem tej megalomanii są intrygi, nieporozumienia, lekceważenie ról, wielkie wymagania... Że teatr, a raczej powiedzmy sztuka, wyjść na tem dobrze nie może, to chyba nie potrzebuje już wcale dowodzenia...

— Zgoda; i jeszcze raz zapytuję: co więcej słychać w Warszawie?

— Ha, ruch, życie, pogoda, tryumfy „pani Dulskiej“, oczekiwanie zapowiadanych już w zeszłym wieku tramwajów elektrycznych, dziewięć odczytów na dzień, zabawy pana Rajchmana na Dynasach, nowy dziennik pana Granowskiego, mający się ukazać od czerwca, kradzieże, rabunki i t. d.

— A na prowincyi?

— Odczyty i rozboje. W tych ostatnich pewna nowość. Do prawdziwych przybyły sztuczne. W Radomiu inkasent banku łódzkiego zawiadomił, że mu zabrano 900 rb. i został aresztowany, ponieważ jest podejrzenie, że... sam napadł na siebie. W stopnickiem przy śledztwie z powodu napadu na monopol, znaleziono pokwitowanie bandytów, napisane charakterem bardzo zbliżonym do pisma córki zarządzającego sklepem i „nieszczęśliwy ojciec“ przyznał się, że w porozumieniu z córką dokonał napadu.

— Żebractwo naturalnie kwitnie?

— Jak za najlepszych czasów. Ale i tu dzieli się ono na prawdziwe i sztuczne. Żebracy też organizują się, mają swoje narady. Ciekawą wiadomość, wprawdzie nie z Królestwa, ale z Litwy, przynoszą dzienniki. W jednym z podmiejskich lasów wileńskich zebrało się na wiec 200 żebraków. Pomiędzy wygłoszonymi mowami jedna była wysoce charakterystyczna. Mówca zaznaczył z góry, że między żebrakami wileńskimi niema porządnej organizacyi i zgody: zamiast rozdzielić między sobą „stanowiska“, wszyscy się pchają w jedne miejsca, stąd publiczność, zmuszona natarczywością, usuwa się od udzielania jałmużny. Mowca żądał zatem, aby każdy żebrak miał wyznaczone dla siebie „stanowisko“, obok niego może znajdować się tylko jego żona lub "pomocnica"; policyi bać się nie należy, bo choćby aresztowała, cóż żebrak ma „do stracenia?“ Inny mowca radził, aby młodzi żebracy i dzieci ubierali się staranniej, gdyż lepszy ubiór czyni na publiczności wrażenie żebractwa „przypadkowego“, a nie „zawodowego...“ No, ale teraz ja się spytam z kolei: co słychać w Krakowie? i jakie wrażenie uczynił rezultat wyborów?

— Naogół dobre, bo wszyscy są zadowoleni. Konserwatyści przeprowadzili swoich kandydatów, byli demokraci też zwyciężyli...

— Ale za to socyaliści muszą być wzburzeni?

— Zapewne, ale i to niebardzo. Przepadł wprawdzie Daszyński, ale niewiele mu brakowało do zwycięstwa. Natomiast Kazimierz wybrał Grossa, co zmniejszyło klęskę, boć przyjaciel, sprzymierzeniec. Zwycięstwo Hudeca i Lwowie, rozpogodziło zasępione oblicza. Zresztą prawdopodobnie Daszyński jeszcze gdzieś zmartwychwstanie.

— I znów będziemy mieli na jakiś czas ciszę i spokój.

— No, tak, aż do niedalekich wyborów sejmowych.

Kącik humorystyczny.

Przy maturze.

Profesor. Co Szylder pisze o Polikratesie?

Abituryent. (Milczy).

Profesor. No, przecież abituryentowi będzie znaną ta historya z pierścieniem! Co Polikrates z nim zrobił?

Abituryent (skromnie). Zastawił go...

Wziął go.

Przed budą jarmarczną stoi jakiś wyżygrosz i zachwala okrutnie jakieś scyzoryki: Takim scyzorykiem moi panowie potrafi każdy z łatwością krajać szkło, choćby to był największy idyota, (zwracając się do przechodzącego jegomościa): może pan dobrodziej spróbuje?...

Na ulicy.

X. Podobno siedziałeś w kryminale za zdefraudowanie dziesięciu tysięcy guldenów?

Y. Przepraszam cię bardzo... nie dziesięć tylko piętnaście tysięcy!...



Hiszpański następca tronu.

Kilka ostatnich tygodni Hiszpania spędziła w gorączkowem oczekiwaniu. Królowa Wiktorya Eugenia, której zaślubiny z królem Alfonsem zaznaczyły się rok temu krwawym zamachem dynamitowym, lada chwila spodziewała się rozwiązania.

Jak często się zdarza, lekarze pomylili się co do terminu tego szczęśliwego wydarzenia w rodzinie królewskiej i w ten sposób narazili na cieżką próbę cierpliwość mieszkańców Madrytu, którzy dniem i nocą gromadzili się przed zamkiem królewskim, oczekując na decydujące wiadomości.

Bądź jak bądź, uczucia dynastyczne w Hiszpanii są jeszcze bardzo silne. Nic tedy dziwnego, że zwolennicy tej gałęzi domu Burbonów, która obecnie zajmuje tron hiszpański, pragnęli gorąco, aby królowi Alfonsowi urodził się syn, przez co stosunki dynastyczne zostałyby wzmocnione.

Wreszcie w ubiegłym tygodniu rozległo się nad Madrytem echo 21 wystrzałów armatnich, zwiastujących, że pierworodny syn królewski ujrzał światło dzienne. Tłumy zebrane przed zamkiem królewskim ogarnął szał radości. Wznoszono niekończące się okrzyki na cześć pary królewskiej i nowonarodzonego, śpiewano, tańczono, winszowano sobie tego szczęśliwego zdarzenia.

Tymczasem wewnątrz apartamentów królewskich zgromadzili się ministrowie, najwyżsi dostojnicy dworscy i posłowie zagraniczni. Gdy już byli wszyscy zebrani w komplecie, wszedł król Alfons poprzedzony wspaniałą świtą i okazał zgromadzonym swego synka, jak każe tradycya dworu hiszpańskiego, spoczywającego na srebrnej tacy.

Chwilę tę właśnie przedstawia rycina, jaką podajemy naszym Czytelnikom. Po prawej ręce króla stoi prezydent ministrów Maura, za nim zaś członkowie rodziny królewskiej.

Nowonarodzony otrzymał imiona Alfonsa, Chrystyna, Edwarda i t. d. oraz tytuł następcy tronu ks. Asturyi. Od stu lat przeszło po raz pierwszy zdarzyło się, że książę krwi królewskiej nosi ten tytuł, gdyż nawet Alfons XIII w dniu swych urodzin ogłoszony był od razu królem, był bowiem pogrobowcem.

W każdym razie urodziny następcy tronu hiszpańskiego z jednej strony zacieśniły węzły pomiędzy młodocianym monarchą a jego poddanymi, a z drugiej — między nim a domem panującym angielskim, z którym tak blisko spokrewnioną jest jego żona. Hiszpanii zaś bardzo teraz zależy na przyjaźni W. Brytanii, ze względu na obecną konstelacyę polityczną.



Hiszpański następca tronu: Król Alfons XIII. przedstawia zgromadzonym dostojnikom nowonarodzonego swego syna księcia Asturyi.

Czarne sotnie.

Rosya, nagle wyrwana ze stanu hypnozy, w jaką pogrążył ją Piotr W. swemi reformami, które nadały jej skostniałe formy ustroju politycznego i społecznego, nie może się w żaden sposób zastosować do nowych stosunków, będących wynikiem tzw. ery konstytucyjnej. Po dwóch wiekach ciężkiej niewoli, naród rosyjski, w którym tkwią niezawodnie wszelkie zadatki rozwoju kulturalnego, zerwał się do nowego życia. Prądy wolnościowe, zgniatane dotąd nielitościwie, wybuchają teraz z siłą żywiołową. Tworzy się z nich groźny potok rewolucyi, gotowej lada chwila zburzyć wszystko, co staje jej na przeszkodzie, nie zostawić śladu z tego, co tworzyło Rosyę dotychczasową.

Rozprzężenie zapanowało od najniższych aż do najwyższych sfer społecznych. Wszelki urok władzy zniknął na wewnątrz, a na zewnątrz — pomimo swej pozornej potęgi — zeszła Rosya do rzędu państw, co zagranicą szukają, i to często napróżno, przyjaciół i pieniędzy. Wiele bardzo ideałów, nad których szczepieniem ludowi tyle pokoleń czynowników pracowało, runęło w gruzy, najskrajniejsze idee postępowe zajęły miejsce dawnych — konserwatywnych, anarchia zaś, ta nieodzowna towarzyszka wielkich przewrotów społecznych, objęła całą Rosyę w niepodzielne panowanie.



Czarne sotnie: Manifestacya przed pałacem generał-gubernatora w Moskwie.

Nawet Duma, na której zwołaniu, partye umiarkowane fundowały tyle nadziei, zawiodła, nie może bowiem, zebrawszy się już po raz drugi, wyjść z błędnego koła nie kończących się dyskusyi, a wziąć się do realnej, ustawodawczej pracy.

Co przy tym całym haosie, w jakim pogrążyła się obecnie Rosya jest najsmutniejszem, to równoległy z rozpasaniem się żywiołów przewrotowych, wzrost najdalej idącej reakcyi, wstecznictwa równie, jak i one szkodliwego dla rozwoju rzetelnego postępu i wolności. „Związek prawdziwie rosyjskich ludzi“ i „Czarne sotnie“ — to dwa czynniki, uzupełniające się nawzajem a przynoszące prawdziwą hańbę Rosyi z XX-go wieku. Czarne sotnie, będące ślepem narzędziem w rękach takich Puryszkiewiczów, Kruszewanów, Gringmuthów *et consortes* mające na swem sumieniu pogromy w Kijowie, Kiszyniewie, Białymstoku itd. — są tylko narzędziem, złożonem z ciemnych, fanatycznych jednostek. Natomiast osobniki należące do wspomnianego „Związku“, a mające pretensyę zaliczać się do inteligencyi, ponoszą całą winę za owe pogromy, które urągają wszelkim pojęciom etyki i kultury.

Pomimo tego, owe czarne sotnie, zarówno jak i „Związek prawdziwie rosyjskich ludzi“, cieszą się w pewnym odłamie rządowych sfer rosyjskich znacznemi sympatyami. Zdjęcie, jakie umieszczamy w dzisiejszym numerze, przedstawia manifestacyę, jaką urządziły w ubiegłym tygodniu wybitne indywidua, do tych „sotni“ należące, przed domem generał-gubernatora moskiewskiego Hoerschelmana.

Śród tłumów zebranych widać mnóstwo lu z chorągwiami cerkiewnemi. Dowodzi to, że mer rzy czarnych sotni nie wahają się, dla dopięcia swych celów, chwytać tak niegodziwego środka, jak podniecania uczuć religijnych swych współziomków, których później wysyłają do walki z bliźnimi i współobywatelami innego wyznania i narodowości.



Wybory w Krakowie: Prezydent dr. Leo, wydaje legitymacye wyborcze w swem biurze.

Nowowybrani posłowie:



Ks. Józef Londzin
(pol. kat.) Bielsko.



Jan Siwula
(ludow.) Pilzno — Ropczyce.



Ks. Michał Żyguliński
(centr.) Radłów — Wojnicz — Tarnów.



Ks. dr. Adam Kopyciński
(centr.) Mielec — Radomyśl.



Jakób Bojko
(ludow.) Mielec-Radomyśl



Dr. Stanisław Głąbiński
(demokr.) Lwów — miasto.



Józef Hudec, drukarz
(socyal.) Lwów — miasto.



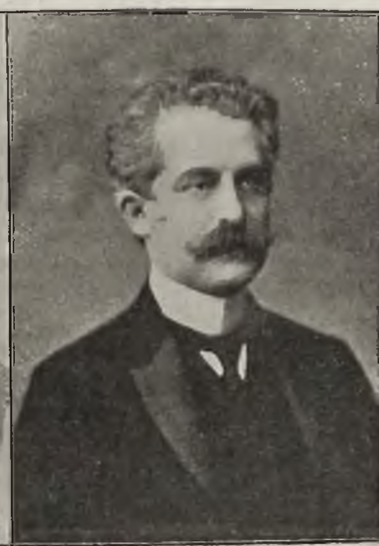
Dr. Godzimir Małachowski
(demokr.) Lwów — miasto.



J. E. Dr. Witold Korytowski
(kons.) Bochnia—Wieliczka—Podgórze.



Dr. Cyryl Trylowski
(radykal. rusin) Peczeniżyn—Kołomyja.




Andrzej Ks. Lubomirski (kons.) Łańcut — Leżajsk — Przeworsk. Dr. Natan Loewenstein (demokr.) Drohobycz Turka Bolechów. Dr. Aleksander Kolessa (ukr.) Kozowa — Tarnopol. Tadeusz Reger (socyal). Frysztat. Wacław Budzynowski (ukr.) Buczacz — Monasterzyska itd.



Dr. Herman Liebermann, (socyal.) Przemyśl.

Z lwowskiego bruku.

(Po wyborach a przed wyborami ściślymi. — Co wynika ze wszystkich dzienników. — Czemu udały się wybory? — Śp. Szwic. — Dwa pomniki. — Pasaż Ciuchcińskiego. — Z teatru. — Festyny.

Kto nie zwaryował z ostatnich wyborów głównych, ten w nagrodę za to będzie teraz świadkiem wyborów ściślejszych. Przed wyborami głównymi — jak już o tem w poprzednim liście pisałem — jeden kandydat twierdził o drugim, że jest szują, szubrawcem, łajdakiem itp. Wyborcy oddali dlatego bardzo mięszane głosy, skutkiem czego w niektórych okręgach już tylko po dwóch kandydatów ze sobą walczyć będzie, a wyborcy będą musieli orzec, który z dwóch jest mniejszym szują. Do tego doprowadza agitacya przedwyborcza. Czytałem przez cały czas **wszystkie dzienniki**, a z tego co wyczytałem wynika, że o mandat poselski nie ubiegał się ani jeden porządny człowiek. Sama hołota, rozbójnicy, zbóje, opoje, złodzieje, kryminalne indywidua, obłąkańcy, ludzie bez głów, wyrzutki społeczeństwa, pijawki, padalce, małpy, kretyni itp, ja bowiem wierzę w takich razach nie przybocznym organom kandydata, ale dziennikom z przeciwnego obozu, które o kontrkandydacie zawsze najbardziej ukrytą prawdę znają i podają drukiem.

Dlatego wyborcy zoryentowali się w sytuacyi z wielką trudnością i musieli nieraz dwa razy liczyć, zanim zdecydowali się głosować na jednego kandydata. Nieraz znów musieli wstrzymać się od głosowania, bo drogę do sali wyborczej obstawiono wojskiem, a nieraz — podobno z litości dla mniej szczęśliwych kandydatów — musieli po dwa, trzy i więcej razy głosować na tego samego kandydata, ale na różne legitymacye.

* * *

Naogół wybory udały się doskonale. Wprawdzie wyborcy poturbowali się trochę między sobą i policya trochę rąbała i hyeny wyborcze trochę pracowały i inne były nieprawidłowości, ale wybory udały się doskonale, bo tylko jeden wyborca przypłacił je życiem, jeden śp. Szwic, o którym przeciętny czytelnik gazet i afiszów nie może nawet wiedzieć do jakiej partyi należał, bo socyaliści twierdzą i afiszami ogłaszają, że nieboszczyk był socyalistą a zabili go wszechpolacy a wszechpolacy twierdzą, że był narodowcem, a zabili go socyaliści. Teraz wiedz!

Ma jednak nieboszczyk w tem nieszczęściu to jedno szczęście, że teraz czczą go jako swojego aż dwie partye polityczne i gotów dostać na grobie aż dwa pomniki: jeden narodowy, drugi socyalistyczny.

* * *

Najładniejsze były wybory w okręgu trzecim (w dzielnicy prawie wyłącznie żydowskiej), gdzie wyborcy wchodzili drzwiami, a po głosowaniu wypuszczano ich oknem, do którego przystawiona była deska.

Po tej desce ssuwał się jeden wyborca za drugimi na siedzeniu, przy czem narażał na szwank swoją najmniej polityczną część garderoby, a czynił to bądź to dla idei, bądź za parę łatów. Ten sposób wypuszczania wyborców po głosowaniu wymyślił pan prezydent Ciuchciński i jest to zarazem jego pierwszy „europejski“ pomysł za nowej prezydentury, pomysł nowy swoją drogą nawet jeszcze nie znany w Europie. Tę dziurę dla wyborców nazwano na pamiątkę „pasażem Ciuchcińskiego“.

W piątek gotujemy się do walnej bitwy przy wyborach ściślejszych, które zapowiadają się bardzo zajmująco.

* * *

Zresztą prawie nic nowego. Znakomity artysta M. Frenkel występuje tu od środy i bardzo się podoba. Oprócz niego słynna śpiewaczka Arnoldson ma za zadanie wypełniać teatr po brzegi, co teraz przychodzi z wielką trudnością wobec lipcowego gorąca i wielkiej mnogości festynów. Lwów jest w ostatnich latach miastem festynów, a festynowicze biadają tylko, że mamy za mało dni niedzielnych i świątecznych i chcieliby przynajmniej codziennie mieć jeden festyn.

* * *

Plac powystawowy, ten lwowski Prater, zaludnia się różnobarwnym tłumem począwszy od „szpiców“ arystokracyi, a skończywszy na złodziejach kieszonkowych i trzy lub cztery muzyki wojskowe grają równocześnie, radując uczestnikom serce, a rozdzierając uszy. Za to nigdzie nie można tak wygodnie pokazać nowego kapelusza lub sukni, jakoteż i nigdzie tak łatwo zrobić znajomości, partyi, lub głupstwa.

Kl.



Wybory w Krakowie: Komisarz policyi dr. Tomasik zdaje relacyę dyrektorowi policyi, dr Flatau o przebiegu wyborów.

Kącik humorystyczny.

Co to — to już nie!

Matka. Karolek za to, że był niegrzeczny, pójdzie na godzinę za karę do kurnika!

Karolek. Dobrze plosie mamy, ale to już mamie ź góly ziapowiadam, zie jajek nie będę znosił!

Co we śnie to i na jawie.

On. Wyobraź sobie, już trzy noce z rzędu śnię o tobie.

Ona. Zapewne, że musisz płacić moją krawcową?

On. Wybacz, ale o czemś podobnem i we śnie nie myślę!

Z TEATRU.

Zaiste nie jest godnym zazdrości los debiutantów na deskach teatralnych.

Trema, będąca wynikiem wysokiego napięcia nerwów, nie opuszcza nieraz nawet bardzo wybitnych artystów, gdy grają po raz pierwszy przed nieznaną sobie publicznością. A ileż ona musi być trudniejszą do zwalczenia u tych, co wogóle pierwszy raz występują na scenie, gdzie mogą znaleźć jednę z najponętniejszych sław — sławę aktorską — albo też szybko i raz na zawsze „utonąć w zapomnienia fali“.

Najczęściej spotyka się trzy rodzaje debiutantów. Do pierwszego należą ci, co zadużo posiadają rutyny aktorskiej jak na początkujących, do drugiego — ci, co mają jej zamało, do trzeciego wreszcie — wybrane jednostki, zdradzające iskrę Bożą talentu i artystycznej miary, bez których nie można zostać dobrym naprawdę aktorem lub aktorką.

Do tej trzeciej kategoryi należy niewątpliwie p. Iza Korecka — „nom de guerre“ — a właściwie hr. Tyszkiewiczowa, która w bieżącym tygodniu debiutowała na scenie krakowskiej w efektownej sztuce Józefa Maskoffa „Tamten“, jako Marya.

Niezmiernie sympatyczna osobistość debiutantki której mąż, dr. hr. Tyszkiewicz, zginął, jak wiadomo tajemniczą śmiercią przed kilku laty w Cieszynie, już w pierwszem pojawieniu się na scenie podbiła licznie zgromadzoną publiczność. Urok niezasłużonego nieszczęścia, jaki ją otacza, przyczynił się w znacznej mierze do tego pierwszego sukcesu. Dalej zaś bardzo korzystne warunki postaci, głosu i ruchów, ułatwiły jej szczęśliwe pokonanie trudności, jakiemi najeżony być musi z reguły każdy debiut.

Nie ulega wprawdzie kwestyi, że w analogicznych sytuacyach łatwiej przepływają między Scyllą a Charybdą kobiety, niż płeć brzydka, to jednak dawno nie pamiętamy na scenie krakowskiej pierwszego występu, uwieńczonego takiem powodzeniem, jakiem słusznie poszczycić się może pani Iza Korecka.



Iza Korecka.

Przedewszystkiem zadanie, które miała przed sobą wcale łatwem nie było. Sama rola Maryi, miejscami mocno melodramatycznie zabarwiona, łatwo może nawet wytrawną artystkę sprowadzić na tory gry nienaturalnej, przesadnej. Jeżeli zaś tego zdołała uniknąć debiutantka, to zasługa jej talentu i wrodzonej inteligencyi artystycznej, która instyktownie wskazała jej w grze drogę prawdy, miary i dobrego smaku. Ta miara jednak nie obniżyła w niczem sumy uczucia koniecznej do tego, aby rola Maryi nie wyszła sucho, szablonowo, bez nerwu scenicznego.

Krótko mówiąc, rola Maryi w interpretacyi p. Koreckiej wypadła doskonale. Widać było, że rozumie ją ona, że wie, co może z niej wydobyć, że zdaje sobie jasno sprawę z tego, jakimi drogami dąży się do wyżyn prawdziwego artyzmu.

Rzecz prosta, że pierwszy debiut musiał zdradzać pewne braki pod względem czysto aktorskiej techniki, którą zdobywa się dopiero wówczas, gdy skutkiem gruntownego obycia się ze sceną, artysta dramatyczny zapomina niejako o deskach teatralnych a żyje realnem życiem w roli, którą odtwarza.

Nie ulega kwestyi, iż przy dobrych chęciach, jakich najwidoczniej nie brakuje p. Izie Koreckiej, te drobne braki, a szczególniej nie dość pewna siebie intonacya głosu, znikną zbiegiem czasu, gdy będzie miała sposobność grywać częściej role odpowiednie i to pod kierunkiem rozumnego reżysera.

A takiej sposobności niezawodnie jej nie zbraknie, bo należy mieć nadzieję, że dyrekcya krakowskiego teatru wcale nierozporządzająca licznym a utalentowanym personalem żeńskim, postara się we własnym dobrze zrozumianym interesie o stałe zaangażowanie tej nowej siły, zapowiadającej się niepowszednio.

Już to samo, że p. Korecka wyszła tak zwycięsko z pierwszej próby i to w roli, którą przed nią odtwarzały na scenie krakowskiej artystki tej miary, co p. Siemaszkowa i p. Wysocka — rokuje dla niej najlepsze nadzieje na przyszłość.

Alfa.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

17. **przełożył z włoskiego W. Ż. K.**

(Dokończenie).

Od onej chwili upłynęło dni kilka. Taki był zamęt w moich myślach, że nie wiedziałam czy zbrodnia jest cnotą, czy cnota jest zbrodnią? Jedno tylko nie ustępowało z moich oczu, a to — dziecko moje, Wilhelmina moja. Zdawało mi się, że baron Petko czyha ze sztyletem w dłoni, aby go utopić w piersi mego dziecięcia i zdało mi się, że to jakiś szatan biblijny, kusiciel straszny, który chce mi wydrzeć z serca miłość macierzyńską, który mnie chce stłoczyć, zdeptać, a porwać dziecko moje na pastwę. Moja Wilhelmina, moje dziecko jedyne, najdroższe, ma być sponiewierane, shańbione, może zamordowane! Nie! Bić szatanów czarny ród! Szał mnie ogarniał, a w tym szale jedno było tylko trzeźwe, wyraźne pragnienie, jedna tylko wyraźna, trzeźwa żądza, niech zginie ten co mi dziecko chce wydrzeć, co je chce sponiewierać.

Przez kilka dni nie zaglądałam do mojego męża. Walczyłam ze sobą. Nikt nie może mieć pojęcia, ile wtedy cierpiałam. Miłość dziecka, obawa o jego przyszłość, wstręt do barona, miłość Alfonsa i pragnienie połączenia się z nim jak najprędzej, to wszystko kłębiło się we mnie, wstrząsało mną, wydawało mi się, że oszaleję, Alfons patrzał na to cierpliwie i wyczekiwał takiej chwili, w którejby moje rozdrażnienie przeszło w jakąś niepoczytalność i wtedy jednem słowem: „chodźmy“ — uczynił ze mnie wspólniczkę zbrodni.

Udaliśmy się oboje na Salita Santa Nicola. Alfons po drodze, jakby od niechcenia, przypomniał mi wszystko, co ucierpiałam przez zawziętego barona, przez co utwierdzał mnie w nienawiści. Umówiliśmy się z Alfonsem, że ja wejdę sama do mieszkania barona, a on poczeka w kurytarzu, i wejdzie dopiero wtedy, jeżelibym jego pomocy wezwała. Jeszcze łudziłam się nadzieją, że zdołam wyjednać zgodę na rozwód, jeszcze pragnęłam zachować życie ojca mojego dziecka, a dopiero w ostateczności chciałam go oddać na pastwę Alfonsa. Wchodzę do barona, ponownie go błagam i zaklinam, tłomaczę mu, że szczęśliwym ze mną być nie może, bo miłości mojej nie pozyska nigdy. Baron rzuca się na mnie, porywa namiętnie w ramiona i chce mnie zmusić do uległości. Wyrwałam się, przejęta wstrętem i obrzydzeniem, a on poskoczył do drzwi, zamknął je szybko na klucz i wytężył wszystkie siły, by złamać mój opór. Rozpacz mnie ogarniała, broniłam się zajadle, udało mi się ponownie wyrwać z rąk jego, przyczem popchnęłam go z taką mocą, że padł na posadzkę, uderzył o nią głową i zemdlał. Dopadłam do drzwi, otworzyłam je i na korytarzu padłam sama zemdlona. Alfons wbiegł do pokoju barona; za chwilę ocucił mnie z omdlenia straszny krzyk barona. Zerwałam się, wpadam do pokoju, widzę na jego szyi okręcony sznur, a z piersi krew tryska. To było straszne. Padłam nieprzytomna. Alfons cucił mnie, a gdy przytomność odzyskałam, rzekł spokojnie: „Jesteś pomszczona i wolna!“ Wyszliśmy. Pojechali do hotelu Golf. Dowiedziałam się dopiero przed samem aresztowaniem, że Alfons zabrał wszystkie pieniądze i kosztowności, jakie znalazł u barona. A to niemal jeszcze straszniejsze.

Elena tak była osłabiona wypowiadaniem zeznań, że już mówić nie mogła. Komisya pozwoliła jej spocząć. Tymczasem wpadł z pospiechem jakiś urzędnik i wręczył pismo urzędowe — przewodniczącemu komisyi, jako rzecz ważną i nagłą. Przewodniczący zaczął je głośno odczytywać. Było to „Aviso“ do dyrekcyi policyi, następującej treści: „Wilhelm Hochzahler, lat 35, Prusak z Berlina, przed dwudziestu laty został przyjęty do służby posła hiszpańskiego w Berlinie, jako pokojowiec. Pozostawał w służbie przez dwa lata w Berlinie, a potem ze swoim chlebodawcą pojechał do Hiszpanii. Po dziesięciu latach służby zyskał sobie takie zaufanie, że mu powierzono stanowisko kamerdynera. Okradłszy swojego pana, zbiegł ze służby, i pod przybranem nazwiskiem przebywał po części w Hiszpanii, po części w Portugalii, dopuszczając się najrozmaitszych oszustw. Pochwycony, został skazany w Barcelonie na trzy lata więzienia. Po odcierpieniu kary wyjechał z Hiszpanii. Przed dwoma laty pojawił się w stolicy kraju i tu zamordował bankiera Jakóba Chidalgo, poczem zbiegł do Francyi i w Paryżu przebywał czas jakiś, pod nazwiskiem Alfonsa hr. di Montegretto. Przed kilku miesiącami znikł z Paryża i podobno ukrywa się we Włoszech. Władze hiszpańskie domagają się poszukiwania i ujęcia zbrodniarza“.

Przewodniczący kończy czytanie w chwili, gdy z piersi Eleny wyrwał się krzyk straszny. Zerwała się z krzesła, ręce wpiły jej się we włosy, rozdzierała ich sploty, po obecnych potoczyła szalonym wzrokiem, jakieś charczenia dobywały jej się z gardła, nogi się pod nią zachwiały i runęła na podłogę. Przywołano lekarza, Elena już nie żyła. Umarła na wstrząs nerwowy.

* * *

Przyprowadzono z kaźni conte Alfonsa. Wszedł wyprostowany, dumny, zuchwały, patrząc wyzywającem okiem na członków komisyi.

— Wilhelmie Hochzahler! patrz na ostatnią ofiarę twoich zbrodni, — rzekł przewodniczący komisyi — ukazując mu zwłoki Eleny.

Zatwardziały Prusak spojrzał na nie obojętnie i rzekł zuchwale:

— Skoro panom wiadomo, że jestem Prusakiem, to obowiązani jesteście odesłać mnie do mojej ojczyzny. Odwołuję się do mojego rządu i odmawiam panom prawa zamykania mnie w waszem włoskiem więzieniu.

— Bądź skromniejszym mój Wilhelmie Hochzalher. Zanim powrócisz do swojej pruskiej ojczyzny, przesiedzisz we włoskiem więzieniu lat dwadzieścia, a potem zabiorą cię od nas sądy hiszpańskie, które za morderstwo — na karę śmierci skazują.

* * *

Tego samego dnia udało się policyi ująć Ramella. Był to także Prusak, który, po wędrówkach złodziejskich po całej Europie, znalazł się także w Hiszpanii i pomagał Hochzahlerowi w oszustwach i kradzieżach. Jego także ścigały listy gończe rządu hiszpańskiego.

* * *

Wkrótce załatwiono ze zbrodniarzami postępowanie sądowe. Ramellę odstawiono do Hiszpanii, Wilhelma Hochzahlera skazano istotnie na dwadzieścia lat więzienia, a nad Wilhelminą roztoczył opiekę rząd austryacki. Czy dowiedziała się kiedy o tragedyi swoich rodziców, nie wiadomo. Może Bóg niewinnemu dziecku oszczędził tej boleści.

KONIEC.

LUDWIK STASIAK

o wyborcze kobiet.

Humoreska. (Dokończenie).

ychana rzecz się dzieje. Czy ci ludzie pod padają? Gdzie się podziały barwne stroje? jedwabne parasolki i kwietne kapelusze? okal wyborczy, jako trup. Nieliczni wyborcy męskiej jak gąsienice leniwie się wloką. Na u przed ratuszem jedna, jedyna kobieta. Jest ą blada i zielona miss Hoocker. Ale wnet lice ej rumieńcami się pokryły. Z bukietem róż zbliżył się do niej lord Pembrok. W oczach jego była nieśmiałość, w słowach jego skrucha. Mówił, że żałuje swej przeszłości, że odwołuje swoje czyny.

Błaga, aby mu miss Hoocker przebaczyła jego nienawiść do kobiet. Był w błędzie, szedł drogą złą, teraz idzie drogą cnoty. Podał bukiet pannie Hoocker, oświadczył, że zamierza się żenić i szuka panny.

Wzięła miss Hoocker bukiet drżącą ręką...

— Wybory mamy ospałe.

— Tak jest.

— Kobiety nie głosują.

— Przed ratuszem jestem ja jedna.

— Czemu pani nie głosujesz?

Okrasiły się rumieńcem lica panny Hoocker. Patrzy w czułe oczy lorda Pembroka.

- Pan nie wie? I pan się nie domyśla, dlaczego mi nie wolno głosować!

— W istocie. Niedomyślny jestem.

— Nie mam jeszcze trzydziestu lat.

Poszedł lord Pembroke do urzędu metrykalnego. Kazał urzędnikowi szukać metryki panny Hoocker. Kazał przerzucać kartki urodzin z ostatnich trzydziestu lat. Ale na tych kartkach daty urodzin jej nie było. Więc szukano daty jej urodzin w w. XVIII i w wieku XVI. Nie było. To doprowadziło prezesa ministrów do wściekłości. Krzyczy na urzędnika:

— Szukaj pan jej dnia urodzin w metrykach z III wieku po Chrystusie!! Przetrząśnij pan metryki z drugiego wieku, jeśli zaś pan nie znajdziesz, pójdziemy w czasy przedchrześcijańskie. Bo ja jestem przekonanym, że miss Hoocker jest rówieśniczką Sokratesa i króla Ramzesa II.

Urzędnik, człowiek bystry, wnet metrykę znalazł. Znalazł ją w XIX wieku. Mówi do ministra:

— Ta pani ma więcej niż trzydziestkę.

— Ileż ma lat?

— Tu jest jej pożółkła karta urodzin, miss Hoocker ma dziś osiemdziesiąt pięć lat.

— A nie chce głosować?!!!

Wypadł minister jak obłąkana lokomotywa. Nie może się doczekać zwołania parlamentu.

Gdy się wreszcie zebrał, zagrzmiały mury wnioskiem ministeryalnej ławy... Wniosek ten brzmiał:

„Uchwala się przymus wyborczy. Każdy obywatel państwa jest obowiązany wyjawić swój wiek. Niezależnie od tego istotny i prawdziwy wiek każdego obywatela, bez względu na płeć i bez wyjątku, ogłoszony będzie wraz z jego adresem publicznie olbrzymiemi plakatami. Drukowane będą i publikowane metryki wszystkich żyjących ludzi, począwszy od tych, którzy się urodzili za czasów Sokratesa. W dniu wyborów żandarmi przetrząsać będą domy i osoby, które przekroczyły trzydziesty rok życia, wlec będą przez miasto do urny wyborczej. A komu udowodnionem zostanie, że jest pełnoletnim, a nie głosował, ten pójdzie za zatajenie lat do kryminału“.

Postępowa większość parlamentu wniosek ministeryalny uchwaliła. Zawrzał oburzeniem kraj. Odbyło się dwieście szesnaście zgromadzeń kobiecych. Na przedmieściach przemawiała srebrnowłosa obrończyni kobiecych praw, miss Hoocker. Kipiały meetingi bezgranicznem oburzeniem. Protestowały przeciw publikowaniu istotnego wieku afiszami, przeciw drukowaniu metryk kobiet, które narodziły się za czasów Sokratesa, za czasów dynastyi Ramzesów. Protestowały przeciw używaniu przeciw płci słabej żandarmów, przeciw przymusowi wyborczemu. Obywatel państwa bez względu na płeć ma pełne, bierne i czynne prawo wyborcze, jeżeli mu się jednak tak podoba, to wolno mu nie głosować. Uchwalono jednogłośnie wybuch rewolucyi podczas najbliższych wyborów.

Lord Pembrok pilnie czytał uchwały dwustu szesnastu kobiecych zgromadzeń. Człowiek chytry i bystry, przeczytawszy uchwały meetingów, nie oddał wcale uchwały o przymusie wyborczym do sankcyi monarszej. Prawo to nie weszło nigdy w życie. Stary łotr Pembrok nie potrzebuje takiego argumentu jak wybuch dynamitowej bomby. Jemu wystarczą najzupełniej rzucane z galeryi parlamentu zgniłe jaja.

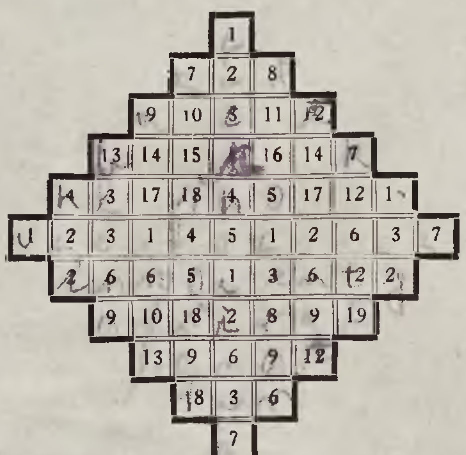
KONIEC.

Zagadki do nagrody

Arytmogryf.

Ułożył Stefan Spunda ze Skały.

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły nazwę miejscowości kąpielowej w Królestwie Polskiem.

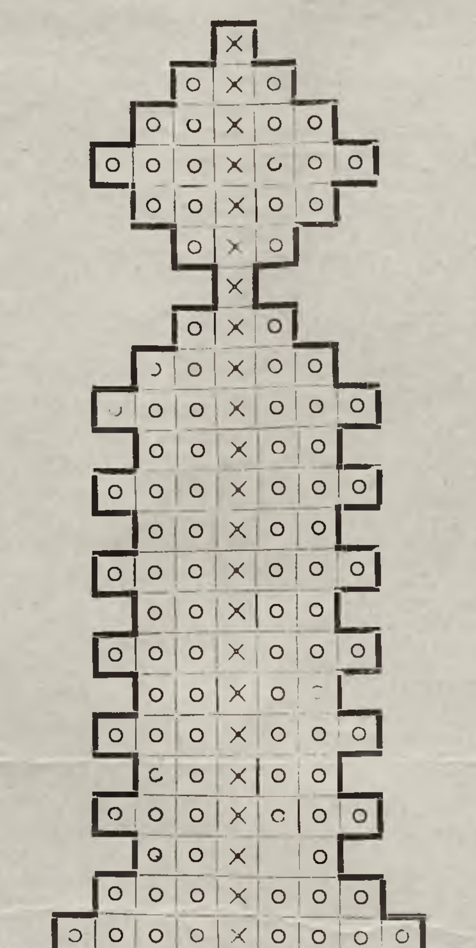


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Materya żałobna. 3. Inaczej zwolennik. 4. Sztandar turecki. 5. Nazwisko jednego z największych uczonych niemieckich. 6. Znaczenie zagadki. 7. Imię męskie. 8. Dowódca siły zbrojnej na morzu 9. Południowa część Węgier. 10. Rzeka w Niemczech. 11. Spółgłoska.

Logogryf

Ułożył Stefan Spunda ze Skały.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby krzyżyki czytane z góry na dół, utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zaimek pytajny. 3. Gatunek zboża. 4. Godło nadziei. 5. Drzewo owocowe. 6. Instrument muzyczny. 7 Spółgłoska. 8. Przeciąg czasu. 9. Wyspa na morzu Bałtyckiem. 10. Miasto we Włoszech. 11. Przyrząd kowalski. 12. Dawna moneta zdawkowa. 13. Port wojenny we Francyi. 14. Imię żeńskie. 15. Inaczej popiersie. 16. Pseudonim Klonowicza. 17. Inaczej skarga. 18. Jesienna uroczystość rolnicza. 19. Imię męskie. 20. Miasto portowe w Niemczech. 21. Wyspa turecka na morzu egiejskiem. 22. Rzeka w Galicyi. 23. Bajeczny król Flandryi. 24. Inaczej emeryt.

Zagadka zgłoskowa.

Ułożył Stefan Spunda ze Skały.

Ze zgłosek a, an, ar, cha, bie, chium, ce, cki, co, dło, e, e, el, fon, i, in, ja, je, jó, ka, kad, ker, ko, la, le, lik, łub, ma, mal, mo, mö, na, nał, nat, ne, ni, ni, niec, nu, och, os, ra, ryi, rzy, se, sej, sta, t, ter, to, ty, wa, wań, we, wic, zef, zwie,— ułożyć piętnaście wyrazów których litery początkowe, czytane z góry na dół a końcowe z dołu do góry, utworzą imiona i nazwiska dwóch malarzy polskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Najznakomitszy poeta poeta polsk XVI wieku. 2. Chrześcianin, nie należący do kościoła rzymsko-katolickiego. 3 Inaczej bezład. 4. Miasto w Armenii, należące do Rosyi. 5. Przyrząd kowalski. 6. Stolica Bawaryi. 7. Skład broni i przyborów wojennych. 8 Sławny bajkopisarz francuski 9. Wieś nad Prutem, pamiętna bitwą — nazwa kilku królów syryjskich. 10. Ogród zoologiczny, 11. Dwa imiona męskie. 12. Prezydent ministrów jednego z państw europejskich. 13. Malarz polski. 14. Inaczej tułów — miasto portowe w Szwecyi. 15. Zakład wychowawczo-naukowy — rzeka w Syberyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza Redakcya bombonierkę czekoladek z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 19.

Logogryf.

S, k**t**o, Kl**a**ra, Wiś**n**icz, ś**l**iwa, a**s**y, **ł**, m**a**k, ko**w**al, Kro**m**wel, Oj**a**ma, o**s**a, **ł**, j**o**d, Ła**w**ra, Gł**u**szec, pasi**k**onik, Ujejsk**i** Kornel

Stanisław Masłowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Arbesbauer Lwów, Tow. »Zgoda« Krosno, M Świtlitkowa Rzeszów, F. Niepokój Krosno, J. Haładej Górki, R. Stopczański Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał R. Stopczański we Lwowie, prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Potulny jedynak.

Ojciec. Mój Edziu, dobrzeby było, abyś już raz przecie wstąpił do jakiego urzędu.

Syn. Racya! Daj mi ojcieo swój złoty zegarek, to jeszcze dziś wstąpię do urzędu — zastawniczego.

U Ihnatowicza.

Gość. Czy ta pomada jest skuteczna?

— Zaręczam panu! Proszę spojrzeć, jakie ja mam wspaniałe włosy na głowie, a popatrz się pan (zdejmuje perukę) jak ja przedtem wyglądałem!

Dyplomatka.

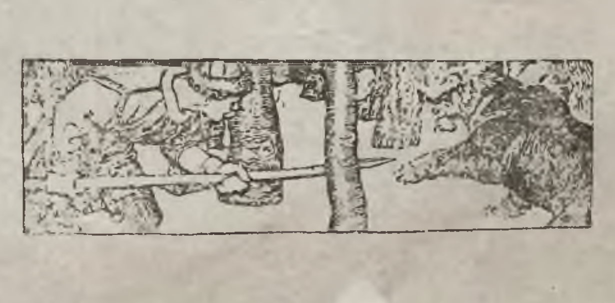
— Drogi mężusiu, w dniu twych imienin składam ci życzenia wszystkiego najlepszego — i — wiesz, czego ci jeszcze życzę?

— No, czegoż takiego, duszko?

— Abyś się nie bardzo przestraszył moich krawieckich rachunków!

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).



Uwagi godne uznanie

dla pana M. Freilicha,

jednego z największych hygienistów i powag lekarskich w leczeniu ruptury

(we Lwowie, ulica Grodecka 35).

Nasz członek honorowy M. Freilich we Lwowie, obdarzony dyplomem i złotym medalem przyznanym mu na III międzynarodowym zjeździe dla działalności filantropijnej i hygieny we Florencyi, otrzymuje od nas za łączony dokument, przesłany nam przez naszego honorowego prezesa, prof. Dra med. Edwarda Reicha, dyrektora i wiceprezesa ces L.-C.-A. akademii.

Wielki ten uczony pisze w uznaniu dla p. M. Freilicha co następuje:

Szanowny Panie!

Każdy lekarz i hygienista, który przyczynia się do tego, aby zmniejszyć liczbę chirurgicznych operacyj, musi być ceniony jako dobroczyńca ludzkości. Szczególniejsze ma to znaczenie na polu przepukliny pachwinowej, czy też jelitowej.

Doświadczenie bowiem poucza, że liczba zmarłych przy operacyach w takich wypadkach jest daleko większą, aniżeli przez podobne krzywdzenie (lub operacyę) wyleczonych. Chodzi zatem o to, aby chorych na przepuklinę leczyć bez operacyi.

I w istocie wydaje się, że ten sposób leczenia daje nieporównanie lepsze rezultaty, aniżeli leczenie za pomocą operacyi.

Z pośród wielu metod, jakich trzymają się w najnowszych czasach przy leczeniu przepukliny bez operacyi, celem odwrócenia w ten sposób od ludzkości wielkiego niebezpieczeństwa, metoda p. M. Freilicha we Lwowie naszego zaszłnż nego członka honorowego, wydaje się być najlepiej pomyślaną i najszybciej do celu wiodącą. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, na ten sposób postępowania, który w małej broszurce niezadługo dokładniej będzie opisany, zwrócić uwagę, aby przy jego pomocy, ogromnej ilości ludzi wrócić zdrowie, a cierpiącym zaoszczędzić niebezpieczeństwa krwawej operacyi. Miałem za swój obowiązek z tymi myślami się wypowiedzieć.

Z głębokim szacunkiem

Dr. med. Reich.

Nienport-Bains w Belgii, 19 stycznia 1907.

Marka ochronna: „Kotwica“

Liniment. Capsici comp.,

zastępienie

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako wyśmienite, bóle uśmierzające nacieranie; do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., K 1.40 i 2 K. Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką „kotwicą“, wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera pod „złotym lwem“ w Pradze,

ulica Elżbiety No. 5 nowy.

Wysyłka codzienna.

Nowo otworzony, pierwszy chrześcijański

Magazyn modnych, pięknych i trwałych Ubiorów męskich

we Lwowie, ulica Akademicka Nr. 12

(naprzeciw pomnika Ujejskiego).

Poleca się Szan. PT. Publiczności, prosząc o łaskawe poparcie. Magazyn nasz opiera się: 1) na rzetelności i stały h cenach, 2) na bardzo niskich cenach jakie dotychczas nie były w żadnym sklepie, 3) na n jlep zy h i modny h towara h. — Ponieważ postanowiliśmy kon kurować ze wszystkimi podobnymi składami, dlatego sprzedajemy wszystkie towary tylko z 5% zyskiem, co dotychczas nigdy nie bywało.

20—23 Z wysokiem szacunkiem 35—39

JUL. GIZELLA, Lwów, Akademicka L. 12

Nowo otworzony

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH BERNARD KUNKE

we Lwowie, plac Halicki L. 12, I p.

Obstalunki z najnowszych materyałów krajowych i zagranicznych uskuteczniają się w jak najk ótszym czasie.

21—26 **Uniformy dla Pp. Urzędników i Studentów.**



3-letnia pisemna gwarancya!

Bez konkurencyi w tej jakości!

5 koron!

Wspaniały szwajcarski Anker-Rementoir zegarek, systemu Roskopf, o doskonałym, silnym werku, zabezpieczonym pancerzem, z pięknym emaliowanym cyferblatem (nie z papieru), w eleganckiej nikl. oprawie, opatrzony plombą ochronną idący 36 godzin (nie 12 godzin), posiadający ozdobne, złocone wskazówki, doskonale uregulowany z 3-letnią pisemną gwarancyą

za sztukę	K 5·—	za 3 sztuki K 14·—
taki sam z wskazówką sekundową	„ 6·—	„ „ „ „ 17·—
W eleganckiej srebrnej oprawie bez wskazówki sekundowej .	„ 10·—	„ „ „ „ 29·—
taki sam z wskazówką sekundową	„ 13·50	„ „ „ „ 38·—

Zamiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy bez żadnego potrącenia

Wysyłka za zaliczką. — Pierwsza fabr. zegarków **Hanns Konrad w Brüx** Nr. 896 (Czechy)

Bogato illustrowany polski katalog z przeszło 3000 wzorami wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

Nowość! C. k. Patent. **Nowość!**

Portmonetka-łamigłówka Nr. 7360

Kapitan z Köpenik



Portmonetka - bezpieczeństwa -

może być tylko przez wtajemniczonych otwartą. Sposób użycia dołącza się do każdej sztuki. — Bez niego nikt nie jest w możności otworzyć portmonetki. Okucie jest eleganckie niklowe, zamknięcie bardzo silne skórka pierwszej jakości, jak nobrazowy safian, silnie podszewka skórzana, silne

20—24

wewnętrzne przedziałki na złoto z osobnem okuciem, 3 przedziały 9½ cm. szerokie, 7½ cm wysokie, wyrób solidny i trwały;

Cena **2 Kor.**

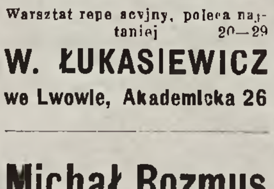
Rozsyłka za zaliczką lub za nadesłaniem poprzedniem pieniędzy

C. k. nadworny dostawca

Hanns Konrad Dom wysyłkowy **w Brüx**, Nr. 1549 (Czechy).

Główny katalog z 3000 rycin. w języku polskim, na żądanie darmo.

ROWERY światowej sławy marki „Austrya“, sprzedaje po cenach fabrycznych



Salo Mohr, Lwów, ul. Rybia 1

(dom wł. n.)

Fabryczny skład Rowerów i Gramofonów.

Illustrowane cenniki franco. 21—32 Ulgi w spłatach

Rowery i Motory

nowe i używane — wszelkie **przybory dla kolarzy**

Lawn-Tennis — Piłka nożna

Warsztat reperacyjny, poleca najtaniej 20—29

W. ŁUKASIEWICZ

we Lwowie, Akademicka 26

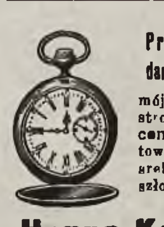
Michał Rozmus

Lwów, ul. Ruska 3

Nowo założony 20—31

Zakład elektrotechniczny

i pracownia dla wszelkich robót mechanicznych urządza elektryczne światło, dzwonki, telefony, gromochrony, etc. po cenach przystępnych — poleca się łaskawym względom Szan. PT. Publiczności.



Proszę żądać darmo i opłatnie

mój bogato illustrowany polski cennik zegarków, towarów złotych i srebrnych. (przeszło 1000 illustracyi).

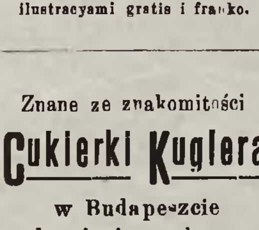
Hanns Konrad

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW w Brüx Nr. 1379 (Czechy).

Prawdziwy niklowy anker-remontoir wraz z łańcuszkiem K 4·—, 3 sztuki K 11·—. Żadne ryzyko. Wolna zamiana lub zwrot pieniędzy.

3—52

Moje niskie ceny wzbudzają podziw! ... zegarek kieszonkowy Anker-Remontoir do nakręcania na 36 godzin, marki ...vet Roskopf-Pat. z pięknym łańcuszkiem i wisiorkiem złr. **1·95**; przy odbiorze 3 sztuk złr. 5·5(0), 6 sztuk 10 złr. Urzędnikom udzielam spłaty ratalne. Życzący cennik zechce łaskawie nadmienić w której gazecie anons wyczytał



Ignacy Cypres, Kraków

(Austrya) 9—34

ulica Floryańska L. 49.

Bogato illustrowane cenniki z 800 illustracyami gratis i franko.

Znane ze znakomitości

Cukierki Kuglera

w Budapeszcie

są do nabycia u wyłącznego zastępcy dla Galicyi i Bukowiny

Leona Propsta

w Magazynie papierowym,

21—30 LWÓW,

ul. Henryka Sienkiewicza 2

(obok hotelu George'a)

Wielki wybór widoków.

Zamówienia z prowincyi odwrotną pocztą.

„Włosy rosną po długoletniem wyłysieniu“

Johna Cravena Burleigh'a sławna maść jest tym jedynym środkiem.



Byłem łysy

John Craven Burleigh

John Craven Burleigh zostawszy wcześnie łysym wypróbował ten środek sam na sobie. Po 14-o dniowem użyciu porosła łysa przedtem czaszka gęstym włosem. On powierzył ten preparat kilku swoim przyjaciołom i patrz, także u nich nastąpił ten sam skutek. **Setki tysięcy ludzi, którzy odtąd środka tego próbowali, mają serca przepełnione wdzięcznością, a każdy może przeglądnąć leżące w moim biurze listy dziękczynne, które ten środek, jako niezawodny, wysławiają.**

Łysina jest brzydką rzeczą.

Łysina utrudnia walkę o egzystencyę.

Dla czegóż chcesz Pan pozostać łysym, gdy pomoc jest możliwą?

Nic to Pana nie kosztuje aby skutek widzieć na samym sobie.

Gratis i opłatnie prześle się każdemu próbną dawkę tego środka, wynaczającą na 5 do 8 dni kto o to napisze i prześle 20 hellerów w markach pocztowych (na porto i opakowanie). Pewna ilość podziękowań piśmiennych, cenne wskazówki użycia i pouczenie prześle się równocześnie.

Wszyscy przeto cierpiący na wypadanie włosów, tu leż łysine niech piszą natychmiast do firmy:

WILLIAM SCOTT

właściciel monopolu.

W Wiedniu 870, Adlergasse 7.

Teatr Rozmaitości

w Parku krakowskim.

Program ważny od 16 do 31 maja 1907.

BARONI DE BERGHOF, iluzyonista; DAGMAR DUMBAR, eksc. angiel k. Soubrette; LEGEL SCHIELDS, kom. j ngler; SISTERS BOLLINI, gimnast. akt nadpowietrzny; LITTLE TRIBBY LACHOWSKA, memotechniczka; BRONISŁAW BRONOWSKI, humorysta polski; TRIO WALTERS, parterowi akrobaci; LES CADETS D. GASCOGNE, kwartet śpiewaczy. 20—30

Renomowana Restauracya.

Po przedstawieniu KONCERT orkiestry własnej do godziny 1-szej w nocy.

Ni zrównanie praktyczny i tani jest mój **wspaniały Garnitur do golenia nr. 8730**



Z pięknie polerowanego drzewa szkatułka do zamykania z dającem się ustawiać zwierciadłem do golenia, zawiera wszelkie przybory golarskie, jak następuje:

1) **Brzytwa** bardzo dobra nr. 8701 dla każdego zarostu odpowiednia, ślicznie szlifow, i gotowa do użytku 2) Wyborny **rzemień do brzytwy** 3) **Pudełko** pasty do ostrzenia 4) Pudełko najlepszego **mydła** do golenia 5) Niklowane **naczynie** golarskie 6) **Pędzel** do golenia.

Wszystko razem tylko K 5·—

Ten sam garnitur, ale **brzytwa** z przyrządem **bezpieczeństwa** dla niewprawnych (wykluczone skaleczenie się) wraz z przepisem używania Kor. 7·—.

Sama **Brzytwa bezpieczeństwa** Kor. 3·50

Nr. 8762 **mydło golarskie,** całkiem łagodne i w najlepszym gatunku, a jednak dające się używać oszczędnie i bardzo dla skóry przyjemne — w ślicznym pudełku blaszanem K —·40.

Nr. 8769 **Naczynie golarskie** z pędzlem, miseczką itd. prześlicznie niklowane i w ładnem kartonowem pudełku — za sztukę kor. 1·20.

Rzemień do brzytew 20 cm. długi, K 1·20. **Maszynka do wystrzygania włosów** gotowe do użytku, prima jakości K 6·—. — Gwarancya: **Wymiana dozwolona albo zwrot pieniędzy.**

przesyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem **Hanns Konrad** Pierwsza fabryka zegarków i Dom przesyłkowy **w Brüx, nr. 657 (Czechy).**

Główny katalog polski illustr. z przeszło 3000 rycin. na żądanie każdemu darmo opłatnie.

13. 15. 17. 19. 21.

Tanie czesk...



... skubanych 30 K, 36 K. ... franko za zaliczką. W... i przyjęcie napowrót za... tem opłaty pocztowej.

Benedykt Sachsel, Lobes 265

Poczta **Pilzno**, Czechy.

CUKIERNIA ADAMA PIASECKIEGO

w Krakowie, ul. Długa 10

Filia:

ulica Floryańska L. 2

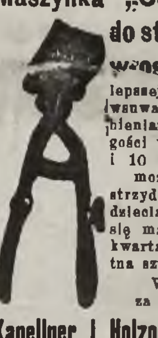
Hotel Drezdeński Kraków

Poleca wielki wybór cukrów i czekoladek

Własny wyrób czekolady

›Krakowianka‹ mleczna czekolada i orzechowa.

Maszynka „Solingen“ do strzyżenia włosów



z najlepszej stali 3 wymiennymi grzebieniami dla długości włosów 3, 7 i 10 mm. Każdy może odrazu strzydz. Przy 2-ch dzieciach wypłaca się maszynka w 1 kwartale. Kompletna sztuka K 7·75.

Wysyłka za zaliczką

Kapellner i Holzer, Kraków ul. Dietlowska 68/c.

Illustr. cenniki z przeszło 1000 wzorami zajmujących nowości na żądanie darmo i opłatnie.

„Le Ferment“

Kraków, ul. Podwale L. 5.

Wyłączne zastępstwo na całą Austryę 6—52

Wyrób mleka i fermentu płynnego we ... „La tobacyline“ według metody **Dra Mecznikowa,** prof. Instytutu Pasteura w Paryżu. Sprzedaż tych wyrobów, oraz laktobacyliny w proszku i pastylkach. **Broszury i objaśnienia** traktujące o działaniu na zdrowie tego środka dyetetycznego, na żądanie **darmo i opłatnie.** Gwarancya tylko za wyroby opatrzone oryginalna ... andera